

Kamena



NR 22 (789)

23 października - 5 listopada 1983

CENA 10 ZŁ

50 LAT NASZEGO PISMA Gratulacje od Generała Jaruzelskiego Wicepremier Rakowski gościem „Kamena”

Exemplarz obowiązkowy
BIBLIOTEKA
UMCS
LUBLIN

Generał Jaruzelski
generał armii

Warszawa, dnia 6 października 1983 r.

Towarzysz
Marek Adam JAWORSKI
Redaktor Naczelny
dwutygodnika społeczno-kulturalnego
"K A M E N A"

Z okazji jubileuszu 50-lecia istnienia Waszego pisma przesyłam gratulacje i serdeczne wyrazy uznania dla całego zespołu redakcyjnego.

"Kamena" jest ważnym miejscem intelektualnego zacznynu, dyskusji oraz interpretacji procesów społecznych zachodzących w naszym społeczeństwie. Cenna jest przy tym niesłabnąca pamięć o półwiecznym rodowodzie pisma, który wiąże się ściśle z losami lewicowego nurtu polskiej inteligencji, z ideowymi wartościami klasy robotniczej.

W dniach jubileuszu życzę Wam, aby dobre doświadczenia z przeszłości i osiągnięcia obecnego zespołu redakcyjnego były podstawą dalszego rozwoju "Kamena", stanowiącej płaszczyznę wymiany poglądów i walki o socjalistyczne pryncypia ideowe oraz patriotyczne postawy Polaków.

Wam, Szanowny Towarzyszu Redaktorze oraz całej redakcji zasyłam życzenia pomyślności w tym dziele.

W KLUBIE Międzynarodowej Prasy i Książki przy ul. Leonarda w Lublinie odbyło się 6 bm. uroczyste spotkanie przedstawicieli władz centralnych i wojewódzkich z zespołem „Kamena”.

Na spotkanie przybyli m.in.: wiceprezes Rady Ministrów Mieczysław F. Rakowski, prezes Robotniczej Spółdzielni Wydawniczej „Prasa—Książka—Ruch” Zdzisław Andruszkiewicz, I sekretarz KW PZPR w Lublinie Wiesław Skrzydło, Budowniczy Polski Ludowej Paweł Dąbek, przewodniczący WRN w Lublinie Stanisław Zgrzywa, zastępca kierownika Wydziału Prasy Radia i Telewizji KC PZPR Jerzy Słabicki, wiceprezes Robotniczej Spółdzielni Wydawniczej RSW „Prasa—Książka—Ruch” Alina Tepli-Kobiejska, sekretarze KW PZPR w Lublinie Michał Bokiniec i Janusz Mańko, sekretarz KW PZPR w Białej Podlaskiej Witold Burzyński, wicewojewoda lubelski Andrzej Szpringer, I sekretarz KM PZPR w Lublinie Andrzej Męciński, sekretarz WK ZSL w Lublinie Walerian Czurak, z-ca szefa Wojewódzkiego Urzędu Spraw Wewnętrznych ds. polityczno-wychowawczych w Lublinie płk Tadeusz Łukawski, wiceprezycenci Lublina Feliks Dobrzyński i Zdzisław Gorgol, kierownik Wydziału Kształcenia i Informacji KW PZPR w Chełmie Jerzy Adamezyk. Ponadto obecny był gość z Jugosławii, dyrektor wydawnictwa Bagdala z Kruševac Ljubiša Didić.

W Klubie MPiK zgromadziło się około 100 osób — przedstawiciele świata nauki i kultury, redaktorzy naczelni radia i prasy z Lublina, Chełma, Białej Podlaskiej i Zamościa, działacze społeczni i polityczni, aktywni redaktorzy naszego pisma.

Gości powitał redaktor naczelny „Kamena” Marek Adam Jaworski.

„Ostatni w miarę głośny jubileusz „Kamena” święcił na swe 30-lecie — oświadczył m.in. mówca. — 40-lecie przeżywaliśmy w żalobie; we wrześniu 1973 roku odszedł na zawsze założyciel pisma, Kazimierz Andrzej Jaworski, który wspólnie z Zenonem Waśniewskim, późniejszą ofiarą hitlerowskiej agresji, zainicjowali w prowincjonalnym wówczas Chełmie wydawanie pisma. Na trwałe weszło już ono do ogólnej skarbnicy kulturalnej nie tylko regionu. Wspominając dzisiaj te dwie postacie i chyląc w zadumie czoło przed ich dokonaniem, czcimy również i pamięć Marii Bechezy-Rudnickiej, kolejnego redaktora naczelnego. Towarzyszyliśmy w ostatniej drodze jej życia w czerwcu ubiegłego roku.

Dzisiaj zebraliśmy się tutaj w gronie nad wyraz szacownym, w gronie przyjaciół naszego pisma, jego współpracowników i czytelników. Zebraliśmy się w półwiecze powstania „Kamena”. Gdy ukazał się pierwszy numer, nie wszyscy obecni byli już na świecie”.

„Założycielom w najbardziej optymistycznych snach — stwierdził dalej M. A. Jaworski — nie jawiła się wizja „Kamena” 50-letniej. „Eksperyment nasz nie jest zakończony. Trwa on dalej” — pisał Kazimierz Andrzej Jaworski w numerze kończącym pierwszy rok wydawniczy, a był to czerwiec 1934 roku. Te słowa możemy powtórzyć dzisiaj zwłaszcza w sytuacji, gdy nasze starania o tygodnik uwiecznione zostały podjęciem przez RSW „Prasa—Książka—Ruch” pozytywnej decyzji. A stało się to w momencie, co jest nad wyraz znamienne, kiedy w zatrutym eterze pojawiają się głosy o upadku czy regresie kultury polskiej. Polska kultura, polska literatura, polska sztuka mogą rozwijać się tylko tu, nad Wisłą. Wszelkie próby przełancowywania twórczej myśli Polaków nad Sekwanę, Ren, Tamizę czy Missisipi, odrywania jej od ojczystych korzeni muszą skończyć się niepowodzeniem. Prawdziwa literatura polska, gdziekolwiek by ona po raz pierwszy spod maszyn drukarskich wyszła, musi wrócić na ojczyznę łono, bo tylko tu,

Dokończenie na str. 2—3

**Witamy w Chełmie uczestników sesji popularnonaukowej
pt. „Kamena” i jej twórcy“**



W Klubie MPiK zgromadziło się około 100 osób. Są przedstawiciele świata nauki i kultury, działacze społeczni i polityczni, dziennikarze, aktyw redakcyjny naszego pisma.



Przemawia wicepremier Mieczysław F. Rakowski. Od lewej stoją: zastępca kierownika Wydziału Prasy, Radia i Telewizji KC PZPR Jerzy Słabicki, prezes Robotniczej Spółdzielni Wydawniczej „Prasa—Książka—Ruch” Zdzisław Andruszkiewicz i sekretarz WK ZSL w Lublinie Walerian Czurak.



Legitymację honorowego członka zespołu redakcyjnego „Kamena” otrzymuje prof. dr hab. Zygmunt Mańkowski.

między Bugiem a Odrą, może ona mieć najliczniejszych i najwierniejszych czytelników. Ale prawdziwa literatura polska to nie książki pisane pod dyktando chwili (i nie tylko chwili) na niepolskie zamówienie”

„Kieruję — powiedział dalej redaktor naczelny „Kamena” — od prawie 19 lat pismem które już w 1934 roku deklarowało że rozumie dobrze społeczne podłoże literatury związanej z życiem i opierającej się na nim, że w walce klasy robotniczej i włościańskiej o nowe oblicze świata ze złośliwym kapitalizmem, jawnym czy zamaskowanym faszyzmem, staje bezwzględnie po lewej stronie barykady. Sądzę, że mam prawo stwierdzić iż w przeciągu 50-lecia istnienia „Kamena” pozostała wierna temu programowi i nie zawsze było to tylko bierne stanie po tej określonej lewej stronie barykady. Walka o przyszłość świata któremu grozi dziś apokalipsa wojny jądrowej toczy się nadal na wielu frontach. W tej walce mieści się również i batalia o umysły, a co za tym idzie — o kulturę, sztukę, literaturę.”

W zakończeniu swego wystąpienia mówca podkreślił, że poczynania redakcji zawsze spotykały się z pomocą władz wojewódzkich i centralnych. W 1966 roku „Kamena” przejęła RSW „Prasa”, dzięki czemu pismo stanęło na trwałym gruncie finansowym. Przedtem „Kamena” mogła kontynuować swoją działalność dzięki dotacjom ówczesnej Wojewódzkiej Rady Narodowej w Lublinie, na której czele stał wypróbowany przyjaciel pisma, Paweł Dąbek.

Redaktor naczelny podziękował instancjom, instytucjom, urzędom, a właściwie ludziom z nimi związanym za pomoc jaką udzielali „Kamennie”, podziękował zespołowi redakcyjnemu, („bez niego kierownictwo redakcji czułoby się tak jak szofer auta, który nie ma w baku benzyny”), podziękował współpracownikom pisma a także drukarzom i kolporterom.

Następnie zabrał głos i sekretarz KW PZPR w Lublinie Wiesław Skrzydło, który odczytał list gratulacyjny od generała armii Wojciecha Jaruzelskiego wystosowany z okazji 50-lecia pisma (list ten reprodukujemy na str. 1) List od I sekretarza KW PZPR w Lublinie Wiesława Skrzydła odczytał sekretarz KW PZPR Michał Bokinie (list ten opublikowaliśmy w numerze poprzednim) Ponadto odczytano bądź wręczono listy gratulacyjne: od wojewody lubelskiego Tadeusza Wilka, I sekretarza KW PZPR w Białej Podlaskiej Czesława Staszczaka, WK ZSL w Lublinie Wojewódzkiego Urzędu Spraw Wewnętrznych w Lublinie ZW ZSMP w Lublinie, Prezydenta Lublina Bronisława Popławskiego, Lubelskich Zakładów Graficznych, „Kuriera Lubelskiego”. Rozgłosił Polskiego Radia w Lublinie Redakcja otrzymała pamiątkowe medale m. Lublina i Lubelskiego Zespołu Pieśni i Tańca im. Wandy Kaniorowej.

Dyrektor Lubelskiego Wydawnictwa Prasowego RSW „Prasa—Książka—Ruch” Wiesław Wróbel odczytał uchwałę Rady Państwa o przyznaniu członkom zespołu „Kamena” odznaczeń państwowych. Aktu dekoracji dokonał wicepremier Mieczysław F. Rakowski.

Marek Adam Jaworski otrzymał KRZYŻ OFICERSKI ORDERU ODRODZENIA POLSKI; ZŁOTE KRZYŻE ZASŁUGI — Ireneusz J. Kamiński i Maciej Podgóski; SREBRNE KRZYŻE ZASŁUGI — Ewa Dybek i Waldemar Stępień, BRĄZOWY KRZYŻ ZASŁUGI — Waldemar Piasecki.

Odnakami ZA ZASŁUGI DLA RSW „PRASA—KSIĄŻKA—RUCH” dekorował prezes RSW „Prasa—Książka—Ruch” Zdzisław Andrzejewicz. Otrzymał je: Mirosław Derecki, Tadeusz Jasiński i Marek Adam Jaworski.

Ponadto odznaki ZA ZASŁUGI DLA LUBELSZCZYZNY (wręczał je wojewoda Andrzej Springer) otrzymali: Tadeusz Jasiński i Maciej Podgórski, ZA ZASŁUGI DLA WOJ. BIALSKOPODLASKIEGO (wręczał je sekretarz KW PZPR w Białej Podlaskiej Witold Burzyński): Marek Adam Jaworski, Ireneusz J. Kamiński, Maciej Podgórski i Waldemar Stępień, a złote medale ZASŁUŻONEMU DLA LUBLINA (wręczał je wiceprezydent Feliks Dobrzyński) — Mirosław Derecki, Olga Gajewska-Gulewska i Ireneusz J. Kamiński.

Wojewódzką Nagrodę Społeczno-Kulturalną za rok 1983 (za całokształt działalności publicystycznej) otrzymał Marek Adam Jaworski. Ponadto wojewoda lubelski przyznał 100 tys. złotych na propagandową działalność „Kamena”. Nagroda ta ma istotne znaczenie w związku z przekształceniem pisma w tygodnik, co nastąpi od 1 stycznia 1984 r.

W imieniu odznaczonych podziękował Ireneusz J. Kamiński. Podkreślił on, że „Kamena” jak każde pismo, miała lata lepsze i gorsze. Charakterystyczne jednak, że wyższy poziom uzyskiwała w czasach burzliwych, kiedy kraj przechodził różne zakręty polityczne. Mówca przypomniał, że „Kamena” była tym pismem, które pierwsze dostrzegło 20-lecie „Polityki” i w związku z jubileuszem zamieściło obszerny materiał na temat biografii tego interesującego tygodnika. Redaktorem naczelnym „Polityki” był wówczas Mieczysław F. Rakowski. Jego obecność w czasie jubileuszu 50-lecia „Kamena” stanowi swoistą rewizytę. „Jesteśmy w wielkiej rodzinie” — podkreślił Ireneusz J. Kamiński.

Na zakończenie zabrał głos wicepremier Mieczysław F. Rakowski, który złożył podziękowanie za dotychczasowy trud zespołu i życzył pismu dobrego startu na nowej tygodnikowej drodze. Jako tygodnik — powiedział dowcipnie wicepremier — pismo może się rozłożyć, ale może również pójść w górę. Życzę wam tego ostatniego.

Końcowym akcentem uroczystości było wręczenie legitymacji honorowym członkom zespołu redakcyjnego „Kamena”. Otrzymał je: Ireneusz Caban, Tadeusz Gwardak, Bożena Kowalowa, Mieczysław Kurzątkowski, Michał Łesiów, Zygmunt Mańkowski, Zygmunt Mikulski, Mieczysław F. Rakowski, Wiesław Skrzydło, Wiesław Śladkowski, Roman Tokarczyk, Jerzy Wieluński i Adam A. Witusik. Ponadto legitymacje otrzymają (nieobecni na spotkaniu): Andrzej Burda, Zdzisław Caekowski i Grzegorz L. Seidler.

Spotkanie zakończyło się przy tradycyjnej lampce szampa. Kilkunastu gościom M. A. Jaworski wręczył rysunki Lublina prace naszego stałego współpracownika Józefa Tarłowskiego. Ponadto wielu obecnych otrzymało pamiątkowe medale przygotowane przez PTTK w Chełmie z wizerunkami założycieli pisma — Kazimierza Andrzeja Jaworskiego i Zenona Waśniowskiego.

Krótką relacją w stylu papowskim nie oddaje klimatu spotkania. Sądymy, że... z swobodą... od tego... wkleśmy nazywać stylem bizantyjskim.



Stoją od lewej: Budowniczy Polski Ludowej Paweł Dąbek, przewodniczący Wojewódzkiej Rady Narodowej Stanisław Zgrzywa, wicepremier Mieczysław F. Rakowski, i sekretarz KW PZPR w Lublinie Wiesław Skrzydło i sekretarz propagandy KW PZPR w Lublinie Michał Bokiniec.



Wicepremier Mieczysław F. Rakowski dekoruje członków zespołu redakcyjnego „Kamena” odznaczeniami państwowymi.



Gratulacje we własnym gronie...

Fot.: Waldemar Stępień i Jerzy Kosiak

Jeszcze daleko do Holendrów

ROZMOWA Z PROF. DR. TADEUSZEM WITKIEM -KIEROWNIKIEM ZAKŁADU GLEBOZNAWSTWA I OCHRONY GRUNTÓW INSTYTUTU UPRAWY NAWOŻENIA I GLEBOZNAWSTWA W PUŁAWACH

W DRUGIEJ połowie XIX stulecia Puławy stały się ośrodkiem nauk rolniczych na ziemiach polskich. W roku 1862 utworzono tu Instytut Politechniczny i Rolniczo-Leśny, który powstał na bazie przeniesionego z Marymonetu pod Warszawą Instytutu Gospodarstwa Wiejskiego. W siedem lat później Instytut uległ reorganizacji. Zlikwidowane zostały wydziały politechniczne, a Oddział Rolniczy i Leśny przekształcono w Instytut Gospodarstwa Wiejskiego i Leśnictwa. Już w XX wieku, za zgodą okupacyjnych władz austriackich, powołano w Puławach Instytut Naukowy Gospodarstwa Wiejskiego, który miał łączyć prace naukowe z potrzebami praktycznego rolnictwa, ogrodnictwa i leśnictwa. W roku 1921 polskie władze państwowe zatwierdziły nowy statut dla placówki puławskiej. Odtąd Państwowy Instytut Naukowy Gospodarstwa Wiejskiego (PINGW) był zakładem naukowo-badawczym. Zakres prac placówki obejmował gleboznawstwo, uprawę i nawożenie roli, hodowlę roślin i produkcję nasion, ochronę roślin, hodowlę i żywienie zwierząt, lecznictwo zwierząt, badania serologiczne i mikrobiologiczne, a także ekonomiczną produkcję i przedsiębiorstw rolnych. W 1950 roku PINGW uległ likwidacji, a w jego miejsce utworzono szereg samodzielnych instytutów resortowych podległych Ministerstwu Rolnictwa. 27 lat temu Puławy stały się siedzibą Instytutu Uprawy Nawożenia i Gleboznawstwa (IUNG).

— *Panie profesorze, historia IUNG-u jest bardzo bogata i znacząca dla rozwoju polskiego rolnictwa. Czy jest jeszcze coś, o czym warto wspomnieć?*

— *Naszym naczelnym zadaniem jest inicjowanie i prowadzenie badań zmierzających do poznania i doskonalenia środowiska życia roślin oraz opracowania nowych lub doskonalenia dotychczasowych metod produkcji roślinnej. Tak więc są to przede wszystkim badania z zakresu nauk stosowanych, jednak obejmują one również problematykę podstawową o tyle, o ile rozwiązania z tego zakresu są niezbędne dla osiągnięcia postępu w technologii produkcji roślinnej.*

— *Zatrzymajmy się na chwilę nad kilkoma wybranymi, zdaniem pana profesora, najistotniejszymi kierunkami działania IUNG.*

— *Dużą rolę w pracach Instytutu odgrywa tzw. kierunek środowiskowy. Wyniki badań prowadzonych w tych ramach w stopniu znikomym trafiają do bezpośredniego producenta, ale są szalenie istotne dla komórek planujących lub podejmujących różnego rodzaju decyzje. Takie zakłady jak: zakład gleboznawstwa i ochrony gruntów, agronomologii, mikrobiologii, ogólnej uprawy roślin — wynikami swoich działań stwarzają możliwość rozpoznania rolniczej przestrzeni produkcyjnej kraju. Warto zaznaczyć, iż należymy do czołówek państw europejskich pod względem stopnia tak jakościowego, jak i ilościowego rozpoznania r.p.p. W tej chwili jesteśmy w stanie podać, ile w danej gminie znajduje się dobrych gleb, jakie panują tam warunki wodne, a jakie klimatyczne, w jaki sposób ukształtowany jest teren i jak z rolniczego punktu widzenia wygląda jego ocena. Wszystkie te elementy składają się na ogólny, nazywany waloryzacją, proces, dzięki któremu nie mamy „białych plam” na rolniczej mapie Polski. W dobie, gdy na jednego mieszkańca kraju przypada poniżej 0,5 ha powierzchni rolniczej netto, należyte rozpoznanie przestrzeni rolniczej jest bardzo istotne.*

— *Mówi się o bardzo wysokich plonach osiągniętych w Europie Zachodniej. Nam do Holendrów lub Niemców chyba daleko?*

— *W krajach, o których pan mówi, panują dużo lepsze warunki klimatyczne niż u nas. Tam nie użytkuje się gleb V i VI klasy, uważając je za marginalne. My gleb na Zachodzie „niechłanych” mamy 32 proc. całego arealu. Gleby płaskowe, bardzo lekkie, które na dobrą sprawę powinny być zalesione, muszą być użytkowane. Przy wysokiej kulturze rolnej i na tych ziemiach możemy uzyskać jeszcze o dwie tony zboża więcej, a oszczędzone dolary przeznaczyć na inne cele.*

— *Padło słowo — kultura rolna...*

— *Nie chciałbym rozwodzić się zbyt długo nad tym pojęciem, znane jest ono chyba dość dobrze, idzie po prostu o szacunek dla ziemi. Przy odpowiednich zabiegach melioracyjnych, rekultywacyjnych np. we wschodnich rejonach Polski można osiągnąć użytki zielone III i IV klasy, tj. dające 100 kwintali siana z ha. Gleby przez wie-*

koletnie użytkowanie nabierają trwałych cech jakości. Wapno defekacyjne nie pomoże, jeżeli gleba przez wiele lat nie była odkwaszana. To prawda, że bez większych inwestycji typu deszczowni stać nas na osiągnięcie 36-38 kwintali z hektara. Pamiętajmy jednak, że historycznie ukształtowana kultura gleby to jeden element, a kultura rolna to drugi, w dużym stopniu od nas zależny.

— *Panie profesorze, IUNG znany jest z działalności zmierzającej do ochrony rolniczej przestrzeni produkcyjnej.*

— *Tak, tematyka ta stanowi drugi, po omówionym już kierunku środowiskowym, ważki nurt naszych zainteresowań. Zajmujemy się w jego ramach m.in. kartowaniem, czyli przestrzennym ukazywaniem obszarów najbardziej nasyconych pierwiastkami śladowymi. Nasze Puławy, Śląsk, okolice Głogowa to tylko niektóre rejony, gdzie skażenie chemiczne gleb wykazuje już alarmujące rozmiary. Szczególnie duża ilość metali ciężkich zagraża produkcji zdrowej żywności. Nie możemy sobie pozwolić, aby za kilkanaście lat dopuścić do wyłączenia z rolniczego wykorzystania całych połaci ziemi. Obserwujemy często nieracjonalne nawożenie, a konkretnie jego przedawkowywanie. Złe tradycje z minionych lat, kiedy to nawożenie traktowane było jako główny czynnik plonotwórczy, dają jeszcze o sobie nieestetyczną świadomość. Ostatnio wszyscy zafascynowali się nawożeniem mineralnym, zapominając o nawozach organicznych. A przecież obornik przy skażonych glebach nabiera pierwszorzędnej wartości. Stanowi naturalny pochłaniacz, a dodatkowo „wspomaga” w działaniu na glebach lekkich magnez. Kilka lat temu Ministerstwo Rolnictwa zorganizowało pewnego rodzaju klub rolników, którzy uzyskiwali regularnie ponad 50 kwintali z ha. Okazało się, że wśród nich nie było ani jednego, który nie używałby obornika w płodozmianie. Wniosek nasuwa się jeden — na dłuższą metę gospodarka bezobornikowa prowadzi do degeneracji gleby i obniżenia plonów.*

Niezwykle ważnym zagadnieniem jest wapnowanie gleb. Na tych samych ziemiach, w zależności od stopnia ich zakwaszenia, można uzyskać do jednej tony zboża mniej lub więcej. Szczególnie

Tańcuje, tańcuje — okreczaj

ANNA BOCIAN: — *Zespół Tańca Ludowego Ziemi Chełmskiej jest zaledwie trzylatkiem, a pracuje z rozmachem wielkiej sceny. Co to za fenomen?*

ROMAN JAKUBOWICZ: — *Kiedy w 1980 roku utworzono zespół i choreografem został Stanisław Leszczyński, już po roku było pierwsze tournée do RFN i Francji. Po powrocie, z tego tzw. składu francuskiego odeszło dziewięćdziesiąt procent zespołu. Zaczęliśmy na nowo, opierając się na sympatii kolejarzy. Minął rok — powstała rada patronacka. W jej skład weszli przedstawiciele życzliwych: Stowarzyszenia Miłośników Ziemi Chełmskiej, kolei, cementowni, miejskiego i wojewódzkiego domu kultury. Wpadliśmy na pomysł, żeby w naturalny sposób zagwarantować sobie dopływ tancerzy do zespołu i tak w MDK zaczęły próby zespołu dziecięcy, w Domu Kultury przy Cementowni zespół młodzieżowy szkół średnich, w WDK młodzież pracująca. Kierownictwem artystycznym i choreografią zajęłam się z żoną Bożeną. Mówiąc konkretnie, pro-*

wadzimy próby z dziećmi i z pracującymi. Z uczniami pracuje instruktor I kategorii Halina Wyczyńska; robi z nimi tzw. materiał do tańca właściwego. Nad umiejętnościami wokalnymi wszystkich czuwa Iwona Luty, kierownikiem muzycznym jest Piotr Wierzejski.

A. B.: — *To jakby kombinat folklorystyczny?*

R. J.: — *Zeby mieć poziom, trzeba te kilka lat tańczyć.*

A. B.: — *Coraz częściej mówi się w Chełmie o waszych roztańczonych dzieciach.*

R. J.: — *Pupilki, wiadomo. Zespół powstał rok temu, koncertował już w Krynicy i w Gdyni. Teraz mamy urwanie głowy, bo matki chcą przynieść do nas dzieci z ogniska baletowego. U nas się nie płaci i od nas bliżej na scenę, ale ognisko daje przygotowanie z klasyki i szkoli dzieci do trzeciej klasy, my natomiast nie mamy gdzie i jak.*

A. B.: — *Pewnego dnia przekarmicie Chełm folklorem.*

R. J.: — *Niektórzy mówią, że już uszczęśliwiamy folklorem na siłę, ale na honoratach naszym polne sale. Im-*

dzle chcą czegoś nowego, a jeżeli jest to dobre i własne...

A. B.: — *Czy folklor jest czymś nowym? Po inwazji folkloru do radia i telewizora są tacy, którzy mają dość tej muzyki, ciągle tak samo rytmicznej, hałaśliwej, na swój sposób prymitywnej. Czy można liczyć na nowinki folklorystyczne?*

R. J.: — *Miałem na myśli folklor jako nowość na gruncie chełmskim. Ale można również nowości folklorystyczne rozumieć dosłownie. U nas mówi się o siedmiu podstawowych tańcach lubelskich, takich jak Cygan, Osa, Mach, Poleczka czy coś tam jeszcze, a przecież są też inne tańce — chełmskie, bilgorajskie, nadbużańskie, z rejonu Lubartowa. Tymczasem utarło się, że w strojach krzeczonowskich tańczy się tańce lubelskie — i koniec.*

A. B.: — *Co atrakcyjnego jest w tych naszych tańcach i „podtańcach” lubelskich?*

R. J.: — *Duża żywiołowość, w porównaniu na przykład do tańców regionu wielkopolskiego czy Kaszub.*

A. B.: — *Chce pan powiedzieć, że zbieracie i notujecie te tańce?*

R. J.: — *Zaczęliśmy. Na razie zgłębiamy się w materiałach źródłowych*

okolice Sawina i Strupia. Chcemy jeszcze spenetrować krasnostawskie.

A. B.: — *Mówi pan, jakby było możliwe przeniesienie na scenę ludowego autentyzmu.*

R. J.: — *Jeżeli zespół staje na scenie, nie ma mowy o utrzymaniu autentyzmu, bo wymagany jest pewien poziom artystyczny. A warunkują go: technika, elementy klasyki, utanczenie, wyrobienie wokalne, aranżacja autentycznej muzyki. Z tym wszystkim zetknąłem się już na studiach, kiedy w 1968 roku zacząłem tańczyć w zespole Akademii Rolniczej i spotkałem tam niezapomnianego choreografa Józefa Dzika. „Tato” był bardzo zdolny, pochodził z Siennicy Różanej koło Chełma.*

A. B.: — *Czy duch Dzika przetrwał w jakiejś formie w pańskiej pracy?*

R. J.: — *Dzik to indywidualność nie do powielenia. Chcę powiedzieć, że nie ściągamy układów Dzika. Dzik to temperament i wycucie — to cała atmosfera. Czasem mu pomyślał nie wychodził, ktoś skoczył za kulisy, „Ojciec, może wypijesz?” Ojciec stawał, zataił oczy i w gnieniu oka pokazywał. I już się czuło, jak ma być.*

A. B.: — *Kto tańczy w grupie reprezentacyjnej?*

R. J.: — *Kolejarz, kierowca, inżynier, przedszkolanka, prawniczka, nauczyciel, budowlaniec. Mają pracę na zmianę.*

wrażliwa na odczyn gleby jest pszenica i jęczmień. Rokrocznie, w przeliczeniu na SO₂, spoda na gleby naszego kraju około 5-6 mln ton siarki. Naruszony jest chemizm ziemi, giną lasy, gleby ulegają zakwaszeniu. Aby zneutralizować tę niekorzystną sytuację, należy co roku rozwieźć, w przeliczeniu na CO₂, 3 mln ton wapna. Dotychczas ze względów organizacyjnych udawało nam się to w ilościach 2,6-2,7 mln ton. Wartości te będą rosły. Powinniśmy zdać sobie sprawę z faktu, iż nie ruszymy z produkcji roślin intensywnych, jeżeli nie odkwasimy gleb.

Pominąłem minerały. Rzecz jasna, nie zaniedbujemy prac nad jak najefektywniejszym wykorzystaniem azotu, fosforu i potasu.

— Wydawało mi się, że o nawożeniu mineralnym wiemy już wszystko.

— Czasami rodzi się wątpliwość, czy to, co było prawdą 20 lat temu, jest nią także obecnie. Przy nieustannym rozwoju techniki te same zagadnienia wymagają skrupulatnej analizy w kontekście innych czynników. Podobnie jest i z nawożeniem mineralnym. Kwestia intensywności, jakości stosowanych nawozów musi być ustalana w oparciu o aktualny poziom rolniczej wiedzy.

— IUNG interesuje się jeszcze wieloma sprawami. Rośliny pastewne, chmiel, tytoń, żeby wymienić tylko część zagadnień, nad którymi pracują całe grupy naukowców, to dużo. Wydaje się jednak, że puławska centrala i jej krajowe oddziały nie potrafią dotrzeć z wynikami swoich prac do szerokiego kręgu odbiorców, do PGR-ów i rolników indywidualnych. Czy mam rację?

— Niezupełnie. To, czy rezultaty naszych badań zostaną w odpowiedni sposób wykorzystane, nie zależy tylko od dobrej lub złej woli Instytutu. Informacje, które chcemy przekazać szeroko pojętemu rolnictwu, wędrują dwoma kanałami. Niestety, z ich drożnością nie jest najlepiej. Dobrze układa nam się współpraca z Ministerstwem Rolnictwa. Ale jest to tylko wyjątek. Jeszcze przed 1976 rokiem, na prośbę Komisji Planowania przy Radzie Ministrów, opracowaliśmy liczący trzy tomy „Program rolnictwa do 1990 roku”. W kilka lat później zlecono nam prowadzenie podobnych prac, zapominając o wynikach już otrzymanych. Ci, którzy powinni służyć rolnictwu, nie zawsze potrafią to robić. O wiele jednak poważniejsze kłopoty mamy z przepływem informacji w dół. Kuleje tu ogniwo pośrednie. Tylko nieliczne, współpracujące bezpośrednio z Instytutem, ośrodki postępu rolniczego przejmują opracowywane przez nas technologie na bieżąco. Cała służba rolna „zawalona” jest stosami papierków. Agronomów z prawdziwego zdarzenia, umiędlonych znaleźć wspólny język z chłopem, jest niewiele.

Co trzy lata wydajemy w formie podręcznikowej zalecenia agrotechniczne. Zawierają one kompendium wiedzy, cały postęp zrodzony w danym okresie w Instytucie i pokrewnych mu placówkach. To ważne opracowanie, o ironio, ma największe wzięcie wśród... studentów.

Każdego roku prowadzimy dla służb woprow-

mają małe dzieci... W ciągu trzech lat dorobiliśmy się siedmiu małżeństw w zespole.

A. B.: — *Taniec sprzyja...*

R. J.: — Cwiczą trzy, cztery razy w tygodniu po dwie, trzy godziny. Wysiłek włożony w wyćwiczenie tańca przewyższa czasem wysiłek sportowca. I to jest normalne, i tak powinno być.

A. B.: — *Co pan uważa za sukces choreografa?*

R. J.: — Jeżeli widz nie zwraca uwagi na technikę, jeżeli dech zapiera co innego, jeżeli układ jest tak ciekawy, że nie widać braków technicznych — wtedy choreograf jest dobry.

A. B.: — *Powiedział pan, że zespół powinien mieć pewien poziom artystyczny. Przecież nie po to idą ludzie do zespołu?*

R. J.: — Oczywiście, nie po to. Po co idą? Jeżeli zespół traktują jako zabawę, to może im się zdarzyć, że pokochają folklor. Pokochać nie znaczy wycuczyć się obciążaniem palców i trzymania ręki w skos na czterdziścić pięć stopni. Pokochać to tyle, co bawić się i pokazywać widowni, jak bawili się dziadkowie. I oczywiście nie zapominać o autentyczności, choć wszystko musi być na swój sposób stylizowane, żeby zespół mógł zaprezentować pewną klasę. Stylizacja stwarza barierę między wysokim artystycznym a autentycznością. Różnie sobie zespoły tę barierę przesuwały, moim zdaniem chodzi o umiejętne powiązanie obu elementów. Wtedy zespół może się podobać.

A. B.: — *Mówi się, że zespoły fol-*

klorystyczne działają, bo chcą wyjeżdżać za granicę.

R. J.: — Jest to typowo polskie gadanie płynące z bezinteresownej zażyłości. Jeżeli członek zespołu amatorskiego lokuje swój prywatny czas i wysiłek, ma prawo odpowiedzieć sobie na pytanie, po co to robi? Dlaczego ma mu się to nie opłacać? Dlatego tak szeroko potraktowaliśmy zespół, żeby wszystkim młodzieży dać szansę pośpiewać, potańczyć, pograć — a jeżeli komuś wytrwałości nie zabraknie...

A. B.: — *Pojedzie do Burgas.*

R. J.: — Właśnie. W Burgas był XVII Światowy Festiwal Folklorystyczny. W dziewięć dni daliśmy tam czternaście koncertów, a w ogóle w ciągu trzech lat ponad sto dwadzieścia. Tu, w Chelmie, dajemy koncert co tydzień.

A. B.: — *Można powiedzieć, że jesteście prężną firmą. Czy nie byłoby wygodniej działać jako stowarzyszenie?*

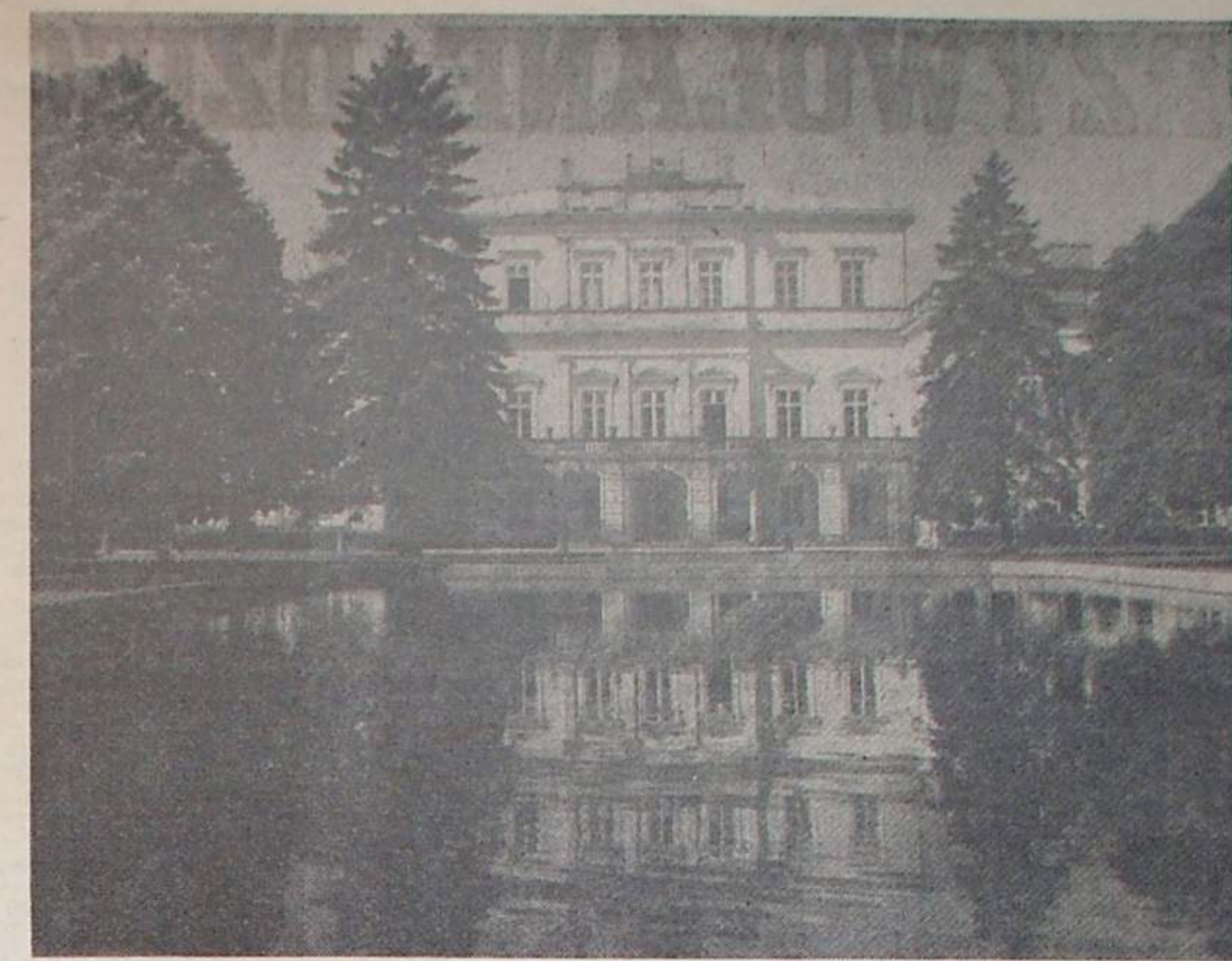
K. J.: — Ciągłe o tym mówię, bo przy takim rozmachu mamy dość wąskie pole manewru. Zanim dogadam się ze wszystkimi patronami, tracę masę czasu. Stowarzyszenie rozwiązałoby sprawę. Przy tej organizacji, jaką mamy, czasami boję się, żeby coś nie pękło.

A. B.: — *Wobec tego trzymamy kciuki za stowarzyszenie.*

R. J.: — I żeby nikt nie złamał nogi na scenie...

A. B.: — *Nie macie kalafonii?*

R. J.: — *Od roku.*



Budynek IUNG-u w Puławach.

Fot. Archiwum

skich specjalne szkolenia. Korzysta z nich 15-20 proc. tych, którzy powinni zapoznać się z nową myślą rolniczą. Podobna frekwencja ma miejsce na spotkaniach organizowanych z myślą o pracownikach PGR-ów. Skoro nie chcą przyjeżdżać do nas, my chętnie odwiedzimy ich. Rzecz dziwna, więcej ofert mamy np. z województwa opolskiego niż z lubelskiego.

Najwięcej satysfakcji sprawiają nam listy od indywidualnych rolników proszących przykładowo o zalecenia specjalne, wydawane chociażby „z okazji” suszy. Czujemy wówczas, iż jesteśmy naprawdę potrzebni. Nowoczesne, wysokowydajne rolnictwo musi opierać się na naukowych podstawach.

— *Co pan myśli o jego przyszłości. Czy rysuje się ona w zielonych kolorach?*

— Jestem optymistą. Jednak swój optymizm zmuszony jestem obwarować jednym warunkiem. Począwszy od ministra rolnictwa, a skończywszy na każdym indywidualnym rolniku, wszystkim nam musi zależeć na zwiększaniu produkcji. Brzmi to może jak truizm, ale niestety nie wszyscy tę kapitalną prawdę chcą wziąć sobie do serca. Kryzys kryzysem, ale politykę rolną już teraz można odpowiednio modyfikować. Sam zapis w Konstytucji nie rozwiązuje jeszcze problemu rolnictwa indywidualnego. W Polsce nie możemy sobie pozwolić na marnotrawstwo gleb. Dobrych ziem mamy tylko 13 arów w przeliczeniu na jednego mieszkańca. Musimy, podkreślam: musimy o tym fakcie wszyscy pamiętać.

— *Dziękuję za rozmowę.*

Rozmawiał: Artur Borkowski

Kajet literacki

O POSTĘPIE W SZTUCE

OD STULECI wiadomo, że nie ma postępu w sztuce, ale wciąż tylko pierwszą z brzegu historię literatury do ręki, a przekonacie się, że od Prokopowicza lepszy jest Lomonosow, od Lomonosowa Dzierżawin, a od Dzierżawina Puszkina i tak dalej. A ile do tego jest jeszcze szczebli pośrednich!

Oczywiście, są tu różnice, ale stwarza je tylko skala talentu. Puszkina jest nieskonczenie bardziej utalentowany od Dzierżawina — i w tym cała tajemnica.

Sprawą oczywistą i niekwestionowaną jest postep techniczny czy postep społeczny, ale to są inne zagadnienia. W paru słowach wypowiedzmy się i na ten temat. Sztuka łączy się z życiem społecznym, z rozwojem techniki. W odniesieniu do tych spraw możemy mówić o „postępowości” w treści utworu. My tu jednak dyskutujemy wyłącznie o formie dzieła.

Podobnie jak z literaturą postępuje się z malarstwem: sztuka ta poczęta przez Giotto, edukowana przez Masaccio i Leonarda da Vinci, triumfująca w dziele Michała Anioła — przez wszystkich następców jest grzebana i wykańczana. Tak twierdził Vasari, a za nim różni inni. Czego oni w sztuce szukali? Chyba tylko pedanterii.

Czy chicagowskie drapacze chmur są lepsze od katedr gotyckich czy choćby babilońskich zikkuratów, czyli wież o układzie schodowym (vide „wieża Babel”)? Wątpliwe. Są inne. Mówmy więc, że są inne, a nie lepsze czy gorsze.

Wróćmy jeszcze do literatury. Peiper jest dobry, bo nowe sitko na kółku. Przybó

lepszy, bo dojralszy, a Białoszewski super-hiper bo dotarł do kresu możliwości, do „ślepej bocznicy” nurtu i tak to kolejni krytycy czy historycy sztuki zastrzegają się, że w sztuce nie ma postępu, ale tego postępu szukają z uporem ludzie nie znający się na rzeczy.

Właściwie wszyscy najwięksi poeci to z formalnego punktu widzenia epigoni. Przykład pierwszy z brzegu: „Pan Tadeusz”. Przykład krańcowy: Norwid Władysław. Norwid nie dał się ogłupić bledermeterowskim nowinkom i dlatego tylko zwyciężył u potomnych, pozostał wspaniałym epigonem.

Stosując do literatury kryterium teologicznie rozumianego postępu formalnego, wynosimy pod niebiosa modne bibeloty. Prowadzi to do uproszczenia i uniformizmu, pomijania wartości niepowtarzalnych, samolistnych.

Dlaczego więc wciąż szukamy postępu w sztuce? Komu to jest potrzebne? Przede wszystkim potrzebne jest różnym poezjom Boże, eksperymentatorom i ich studentom, formalistom gardzącym treścią, humanistyczna treścią sztuki. Oni oczywiście też mają swoje racje, ale są to racje zaledwie cząstkowe.

Janusz Olezak

KAMPANA

PRZYWOŁANE DZIECIŃSTWO

Zbigniew Waldemar Okoń

JEDZIEMY na Zachód. W Lublinie przesiadka. Na dworcu tłok, tłumy ludzi szturmują wagony. Spod ogromnych tłumoków i tobołów nie widać matki i babki. Trzymam się kurczowo mamy za rękę, ktoś co chwila mnie potrąca i szturcha. Babka odważnie pcha się do przodu, łokciami i pięściami torując sobie drogę. Przepycha się do pierwszej klasy, po raz pierwszy w życiu wykupiła tę pierwszą klasę, żeby jechać wygodnie, a tu taki tłok...

— Do cholery, co za bydlę, gdzie się pchacie barany, nie widzicie, że to pierwsza klasa — krzyczy babka na cały głos.

Podnosi się nieopisany jazgot i wrzask, wymyślają babce od burzujów i dupogolców, ale ona nie daje za wygraną, jest już przy drzwiach, wpada do wagonu, zostawiając całą tylną część obszernej sukni gdzieś poza drzwiami. Słońce za jej wielkimi szarymi majtkami do kolan, ktoś podnosi mnie nagle, wciska do przedziału. W przedziale śmiech, przedmiotem dowcipów i złośliwości jest babka, a właściwie jej majtki, podobne do tych z piosenki „takie duże barchanowe i machlate...”. W końcu babka nie wytrzyma i nerwowo, wali w twarz najbardziej dokuczającego jej faceta, pijanego, zaróżnionego, gruboskórnego. Znowu w przedziale rozróżba, wrzaski i krzyki. Ale babka siada już koło okna, spokojnie rozwija jeden z najmniejszych tobołków, kroi drobno słoninę, łamie chleb, częstuje wszystkich, w tym również spoliczkowanego mężczyznę.

Jedziemy bardzo długo, trzy dni. Na stacjach ludzie siedzą i śpią na peronach, kilka osób jedzie na dachu naszego wagonu. Mam kolegę do towarzystwa, paroletniego chłopca, jemy duże owoce czereśni, pestkami strzelamy z palców za okno, aby wzdłuż torów nowe drzewa wyrosły. Na polach i łąkach zielono, kolorowo, przed oczami przemijają uciekające do tyłu drzewa i słupy, cwałujące naprzeciw pociągu tabuny lasów, wynurzające się nagle i niespodziewanie brunatne plamy zawałisk i gruzów.

Przyjeżdżamy do Drawska. Na dworcu czeka ojciec i dziadek Tudrej. Tato ukradkiem ociera łzy, bierze mnie na rękę, podnosi wysoko. Dziadek Tudrej drżącymi rękoma kręci z bibuły papierosa, obmacowuje go długo palcami, wolno wkłada do długiej, drewnianej lufki.

Budynek dworca jest bardzo mały, zbudowany z czerwonej cegły, nad wejściem wielki napis „DRAWSKO POM.” Bardzo mi się podoba, takich dworców w Chełmie nigdzie nie widziałem, porównuję go od razu do chatki Baby Jagi, o której opowiadał mi dziadek. Pociąg gwizdaje przeraźliwie, spod kół wyrzucając ogromne pierzyny pary; z loskotem przetaczają się oblepione ludźmi wagony. Babka dyplomatycznie rozgląda się dookoła, cmoćka z uznaniem i kręci głową. Wychodzimy przed dworzec. Wszędzie pełno gruzów, w dużej odległości od siebie stoją tylko niewielkie parterowe domki.

— Gdzie będziemy mieszkać? — pyta matka jakimś niepewnym przytłumionym głosem.

— W mieście, to kawalek stąd, chyba ze dwa kilometry — odpowiada ojciec i mruga do mnie porozumiewawczo. Dziadek Tudrej sadza mnie na ramiona i cwałując przed siebie jak koń, pozostawia wszystkich daleko w tyle.

Mieszkamy w centrum miasteczka, na wysokim parterze, jak mówi ojciec, nad samą Drawą, której brzeg to ściany naszego domu. Obok most, duży kamienny most, taki sam, jaki widziałem w książce o Warszawie. W tej samej kamienicy mieszka jeszcze kilka innych rodzin. Najładniejszy jest jednak strych, a w nim kilkanaście pustych pomieszczeń, wszystkie zawałone jakimiś gratami, pakami, śmieciami. Mam już kolegów. Byliśmy we wszystkich nie zamieszkałych w pobliżu domach. Na naszej ulicy jest ich kilkanaście. Czego tam nie ma! Szkoda tylko, że mamy nie chcą nas tam puszczać. Boją się, one zawsze wszystkiego się boją. Ale my

przedrzeźnia. Mnie się ona nie podoba, ale Leszek mówi, że z tą kordą jest jej ładnie i że można jej taką lalkę kupić, bo ojciec jej zginął na wojnie.

Szukam Leszka od paru godzin, nigdzie go nie ma, na podwórku, w szkole i w parku. Postanowiłem pójść do jego mamy, jest taka dobra, ona na pewno wie, gdzie jest teraz Leszek. Zapukałem cicho do drzwi, jak zawsze, trzy razy. Otworzyła mi po chwili Stańka, przerażony. Twarz mamy Leszka była okropna, nienaturalnie wydłużona, pomarszczona, pod oczami sina, ubranie poszarpane. Wyglądała raczej jak Baba Jaga. Głos ugrzązł mi w gardle, nogi ugięły się jak guma. Patrzyła na mnie szeroko otwartymi oczyma, a mnie wy-

stymi rękami przesuwają korale różańców. Stary Szalamacha na przedzie dźwiga krzyż bod baldachimem niesionym przez czterech starsuszków. Idzie ksiądz. Biją dzwony donośnie daleko.

— Chłopcy, Szalamacha! — wrzeszcze na cały głos. Wrzucamy poppiesznie łuki i strzały do komórek, pędzimy do kościoła. Ziutek przycałują się za rogiem sklepu, krzyczą do Szalamachy:

Szalamacha krzyżem macha
Szalamacha krzyżem macha!

Staremu oczy nabiegają krwią, coś mamrocze pod nosem, jesteśmy pewni, że klnie strasznie klnie. Wyłazimy zza rogu, bezczelnie pokazujemy mu się na oczy, żeby go jeszcze bardziej rozdrażnić. Przecież nie nam nie zrobi krzyża nie rzuci. Stary nie wytrzyma, rozgląda się dyskretnie, czy go ktoś nie usłyszy, a potem cicho syczy przez nieszczelne zęby.

— Spleprzajcie gówniarze, no, szybko, bo wam kulasy poprzetrącam.

Idziemy odważnie dalej, pokazujemy mu język, gramy na nosie i brodzie Szalamacha dyskretnie robi to samo.

Ale mamy już inny problem do rozwiązania. Mirka boli brzuch, ma rozwolnienie, za dużo najadł się zielonych gruszek. A jak jest procesja, to w promieniu pół kilometra nie wolno robić kupy. Tak uczył nas dziadek Tudrej, a jego słowa są dla nas święte. Mirek w końcu nie wytrzyma, głośno puszcza salonowce, ale tak nieszczęśliwie, że w portki wypróżnia całą zawartość swego stołka. Jakaś rozmodlona babina strofuje go głośno, zgorzonna wymachuje różańcem nad głową, spluwa za nim. Stary Szalamacha wyszczerza spróchniałe zęby, z satysfakcją patrzy, jak biegnący na końcu naszej grupki Mirek na chodniku znaczą wyraźny ślad swojej ucieczki. Biegniemy prosto nad Drawę, w biegu zdejmujemy koszule, rzucamy je w trawę, wskakujemy do wody.

*

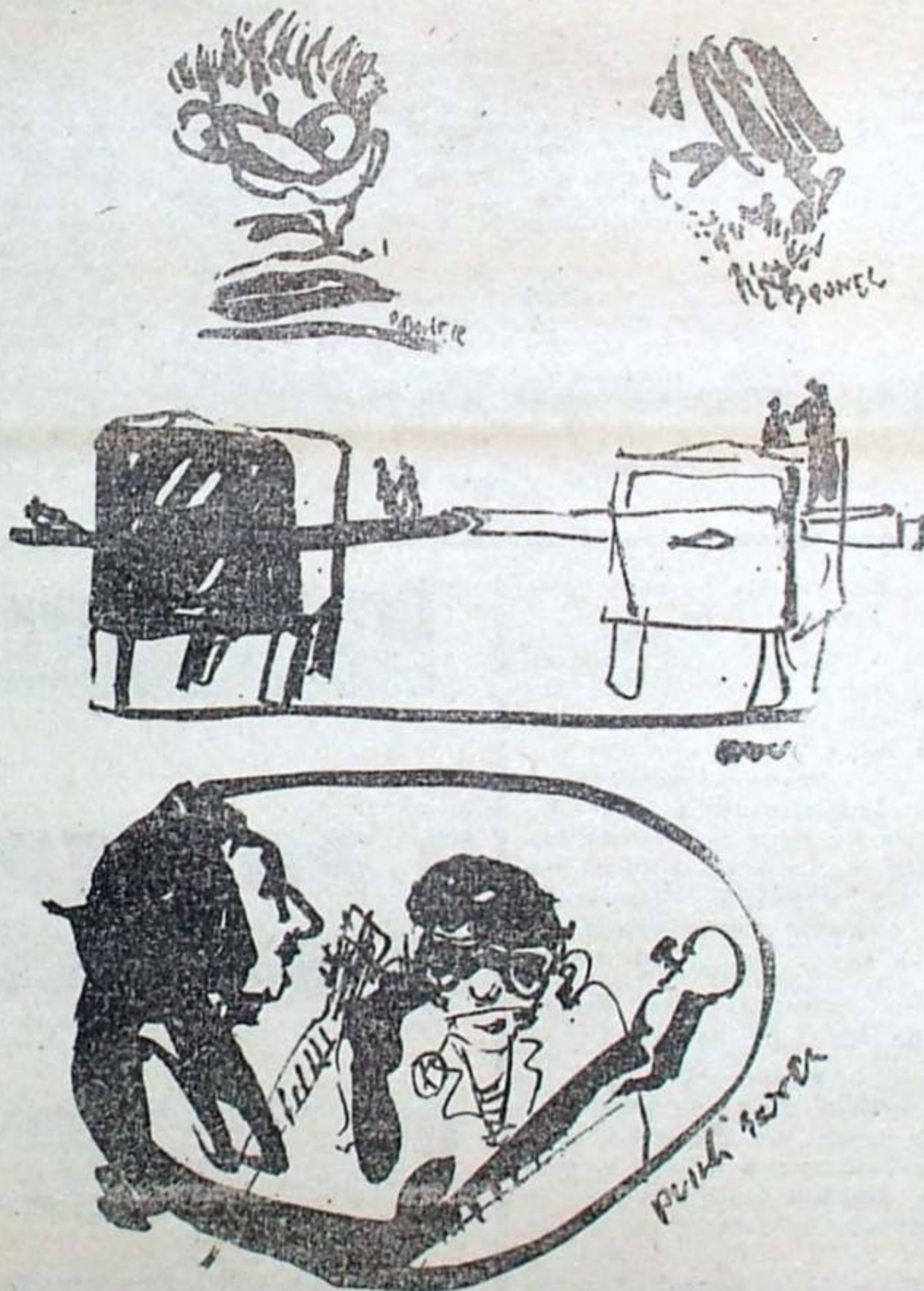
Wracam ze szkoły. Idę sam. Ziutek dzisiaj nie przyszedł na lekcje, jest chory. Witek chyba znowu wybrał się na wagar, na ryby. Oglądam wystawy, na moście krusze do wody nie zjedzone w szkole śniadanie. Bez trudu rozróżniam podpluwające do pokarmu kłębki, płocie i klenie. Nagle ktoś łapie mnie za kołnierz, chyba razem ze skórą na plecach. To Szalamacha, szczerzy spróchniałe zęby, wykrzywia podziobaną twarz, prostuje kabłąkowate pięcy, potrząsa mną jak malkówka.

— No i co mały, mówiłem, że ci nogi z tyłka powyrywam!

Szarpię się raz, dwa razy, na próżno. Bledną, robi mi się gorąco i zimno jednocześnie. Zaczynam wrzeszczeć jak opętany, ale Szalamacha nie sobie z mego wrzasku nie robi ani też z gromadzących się ludzi, obraca mnie twarzą w kierunku kościoła, po czym wymierza poleźnego kopniaka w tyłek. Puszcza mnie nagle, silnie pchnąwszy przed siebie. Od razu uciekam. Nagli odzyskują świeżość i zwinność.

— Powiedz teraz tamtym gówniarzom, jak pan Szalamacha karze niewiernych — dolatują do mnie jego ospałe słowa.

Przed domem jeszcze raz obmacuję tyłek, bo wydaje mi się, że od tego kopniaka coś w nim zachrzęcało i pękło. Siadam na kamieniu i wgniatam pośladek w jego powięźnię. W porządku. Nawet mocno nie boli. Nie powinni w domu niczego zauważyć.



Rys. Andrzej Bronikowski

i tak tam chodzimy. Powiedziałem o tym dziadkowi Tudrejowi. Jest fajny, obiecał, że pójdzie tam z nami. Tylko musimy mu powiedzieć gdzie i opracować plan akcji. Dziadek to tak nazywa, bardzo nam się ta nazwa podoba.

*

Ogromnie tęsknię za Leszkiem. Nie było go u mnie już trzy dni. Co się z nim dzieje, na pewno znowu mnie oszukał i sam się wybrał do piwnicy po te pieniądze. Leszek jest starszy ode mnie, jest synem woźnego ze szkoły, nosi uczniowską czapkę i dlatego jest taki mądry i odważny. A tak mi obiecywał, że do tej piwnicy pójdziemy razem i za te pieniądze kupimy dużo zabawek i chatki, a nawet lalkę dla Oli, która Leszek zawsze

dawało się, że mnie nie widzi. Nagle rozplakała się i mocno przytuliła mnie do siebie.

— Gdzie Leszek? — wyjąkałem.

Mateczynym gestem położyła mi rękę na ramieniu i podeszła ze mną do okna, skąd zawsze obserwowałam piwnicę. Serce ścisnęło mi się gwałtownie, a potem jak opętane skoczyło do gardła. W dole żołnierze wynosili z piwnicy ogromne skrzynie oraz wielkie pociiski i bomby.

— Tam gdzie jest Leszek, nawet go nie znaleźli — powiedziała cicho. I znowu się rozplakała.

*

Ulicami idzie procesja. Owinięte chustkami baby rozmodlonymi oczyma wpatrują się w księdza, poruszają bezbożnymi wargami, kości-

Wiersze o Chełmie

Kazimierz Andrzej
Jaworski

DO RODZINNEGO MIASTA

Matce mojej

Dziś dopiero sobie przypomniałem
— no, pomyślcie, wszak to coś strasznego!
tyle wierszy już w życiu pisałem,
a o mieście swoim ani jednego.

A więc biję się ze skruchą w piersi,
bo naprawdę to jest wielka wina:
tu mnie wszyscy oglądali pierwi,
kiedyś jeszcze był małą dzieciną.

I te wszystkie żydowskie okienka,
te cuchnące i brudne rynsztoki
pamiętają, jak byłem maleńki
i kroczkami były moje kroki.

Tu był ojciec kochany lekarzem,
i mówiłem do niego: tatusiu
(Czarna płyta dzisiaj na cmentarzu:
moje pierwsze twarde „tak być musi”...)

Jaka radość to była w niedzielę,
gdy mnie ojciec do cyrku brał czasem...
O, trapezy, kłowni, karuzele!
O, orkiestra, grmiąca z halasem!

Nieraz z matką szedłem do kościoła,
gdzie naprawdę mieszkał Pan Bóg wtedy...
(Dzisiaj wiem, że wszędzie na mnie wola,
i w kościele bywam rzadko kiedy).

O, pierzo nabożeństw majowych!
Srebrny głosie kościelnego dzwonka!
(I nie przyszło mi wtedy do głowy:
będę wolał kiedyś pieśń skowronka...)
Tu wyrosłem na dużego chłopca
(jest dzisiaj moja szkolna podobizna)
tu dźwięła wrogów mowa obca,
i bólało mnie słowo — Ojczyzna.

Przechodziło się z klasy do klasy,
nawet brato się listy pochwalne.
(Dobre były i niedobre czasy...
O, dźwięczne mury gimnazjalne!)

O, dziewczynne me Indyjskie skalpy!
O, wzywamy gdzieś w dziewczęcym borze!
(Dzisiaj kuszą mnie Tatry i Alpy
i błękitne rozesełmiane morze).

Tutaj były te pierwsze uśmiechy
i z dziewczęcych spojrzeń radość pusta,
moje pierwsze, tak niewinne grzechy,
gdym dowiedział się, po co są usta...

A za miastem jest cichy cmentarzyk,
gdzie złożono przenajdroższe kości,
więc cokolwiek w mym życiu się zdarzy,
tu zostanie część mojej miłości.

Tak. Tu pomnik mój nigdy nie stanie;
nikt nie bywa w swoim mieście prorokiem.
Jednak wiem, że nawet w Hindustanie
w stronę Chełma spojrzę łzawym okiem.

1923

Zenon Waśniewski

W CHELMIE

Stęgały spiętrzone ostrza blach i dachówki
czerwonej
sen już przeciera oczy i węzłem płynie za miasto
na prostokątach chodników kurz dymi na
wszystkie strony
miotły dobyte z suterem śmieci rzucają na stos
ktoś okno rozpina i przeraźliwie ziewa
szkapa lekkim truchcikiem rozwozi zapach piekarni
z bramy ukradkiem wychodzi rozkotysana Ewa
z nor i podziemi do pracy ludzie wylażą czarni
plachty matowych chmur siedmiomilowe dywany
cień się przesuwają żółwiami płamami kameleona
gdzieś flaszka rozbita mlekiem maluje mapy
krajów nieznanych
jak jedność twarz przy twarzy nowy światowid
on i ona

cienie krótsze głos kroków jakby cichnął
w rozgrzanym powietrzu
mury drgają i trudno przeczytać na szuldrze napis
takie same miasteczka jak trawa na dachu wyrosły
śnią się mieszczuchom lasy sosnowe rzeki woń
chłopskiej bielonej polepy
wieczór gęstnieje szybko w resursie zielone stoliki
doktor bankowiec i posły
łaskawa noc otula płaszczem ludzką niedolę
i gdzieś tam przepych

1933

Czesław Morawski

GDYBYM...

Gdybym wiedział, że myśl
będę umieszczał w ramki,
a na pegazie wyściąg
podejmę idąc w szranki
olimpijskich swawoli,
nie dałbym się namówić
Kamienie i Kaliope,
gętaniec w niewoli,
jak zakochany chłopiec...

Bo gdy księżyc przepływał
dnem moich smutnych oczu,
błądziłem przez zawile
ścieżki wonnych przenośni.
Nad Chełmem wiatr kołysał
strofy drzące jak skrzypce.
Ich ton dziś jeszcze słyszę
w pogodne zmięczy lipca.

1962

Kazimierz Eugeniusz
Steszuk

JESIENNA ELEGIA

Czesławowi Twardzikowi

Kluczami nut
odleciały jak melodia
żurawie i jaskółki
przemknęły gwarą szarańczą
ponad miastem
za nimi

po tańczących z babim latem badyłach
przefrunęła
pieśń lirycznych stroj

teraz
kiedy już opadły liście
z drzew wokół katedry
jeden tylko dzwonn
kolacze o pustych parków bramy

przy dźwiękach klaksonów
słychać jak pośród dnia
tłucze o okna domu
dzwonn
wielkie i prężne
serce Chełma

1962

Longin Jan Okoń

Tu rosłem,
ulice prowadziły w cieniste ogrody,
Uherka gubiła złoto ryb,
kaczeńce — oczy podmiejskich łak
kusily smukłogibkie dziewczęta,
księżyc — kapelmistrz gwiazd
grał kwartety liryczne.

Nad miastem
whita w niebo gwoździami wież
chwiała się zielona grzywa helmu.

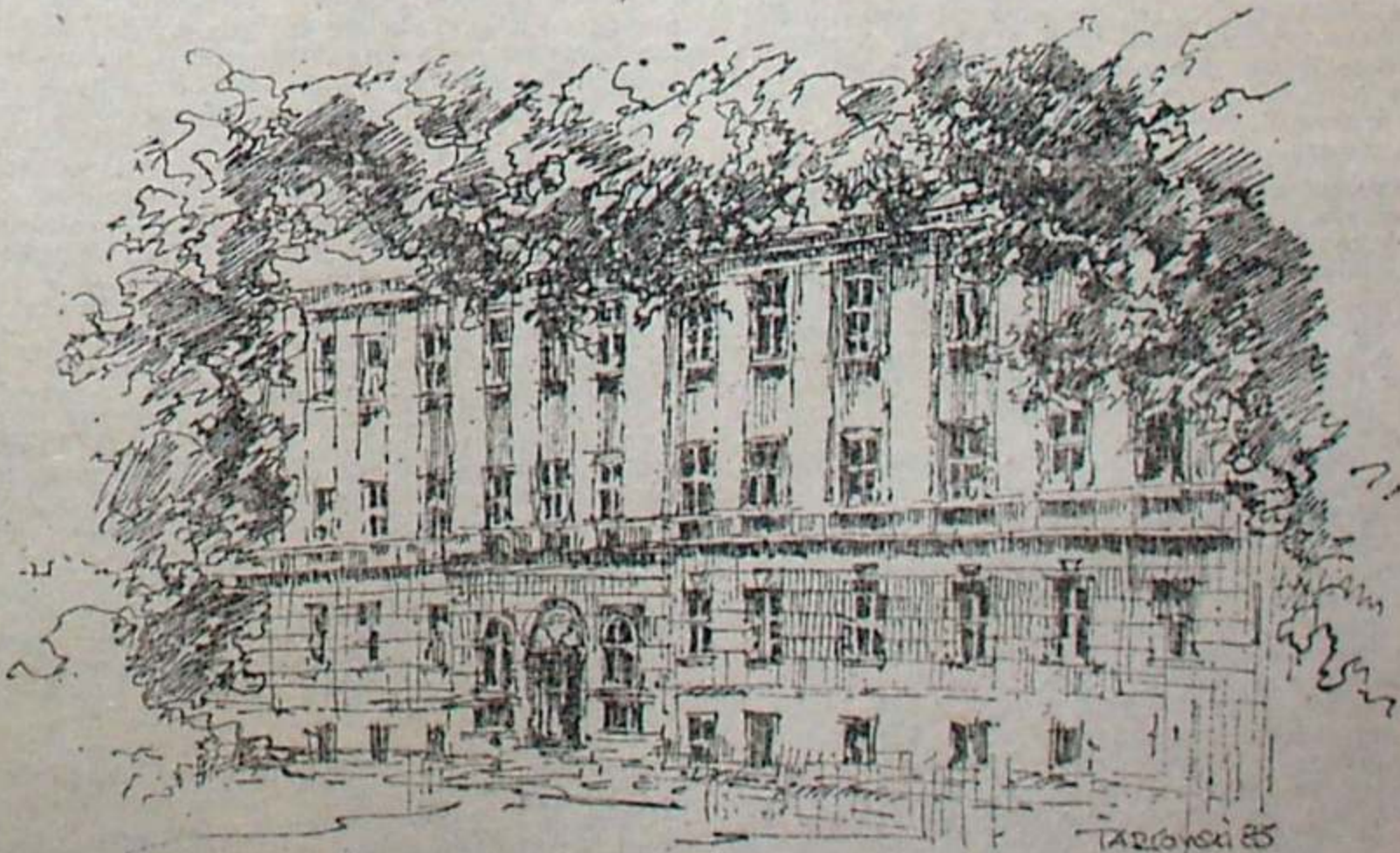
Tu rosłem,
Naręcze uczuć
gubiłem na brukach miasta,
w liceum pitem ożywczy zdroj,
zbierałem słowicze nuty,
dotykałem strun,
motyle kwitły mi nad Chełmem.

Niosłem potem płomień,
podpalałem wiedzę wieś pod Czarnym Lasem,
widziałem

w kwiatnych wawozach
wyścigi pszczoł,
słyszałem
rozlane w kryształach świtu
rozmowy brzoź,
śpiewałem piękno ziemi.

Dziś
ciężarem zgłębny
niosę miłość samotną,
co wrosła w bruki
w zieleń drzew,
w tłuszczy ziemi.

1963



Liceum im. Stefana Czarnieckiego w Chełmie

Rys. Józef Tarłowski

W setną rocznicę śmierci

DZIEŃ 29 października (9 XI) 1818 roku jest ważną datą w dziejach nie tylko literatury i kultury rosyjskiej czy europejskiej, ale i światowej. Urodził się wówczas (w Orle) Iwan Turgieniew. Pochodził z zamożnej rodziny szlacheckiej. Lata dziecięce spędził na wsi w majątku matki Spasskoje-Lutowinowo. Tutaj zaczął pobierać pierwsze nauki. Uczył się też w prywatnych pensjonatach w Moskwie. Po rocznych studiach na Wydziale Filozoficzno-Historycznym Uniwersytetu Moskiewskiego (1833) przeniósł się na Uniwersytet Petersburski, który ukończył w trzy lata później. Dla pogłębienia swej wiedzy z dziedziny kultury antycznej i filozofii niemieckiej (Hegel) udał się Turgieniew do Nowych Aten, jak nazywano wtedy, w pewnych kręgach młodzieży rosyjskiej, Berlin. Marzyła mu się kariera historyka filozofii. Zamary swe porzucił w obliczu rugowania tej dziedziny nauki z uniwersytetów rosyjskich.

Po powrocie z zagranicy w Petersburgu 1843 r. poznał Turgieniew Wissariona Bieleńskiego. Krytyk ten skupił wokół siebie grono młodych ludzi pióra, jak: Iwan Panajew, Wasyl Botkin, Paweł An-

ca". Miejsce pobytu Turgieniewa zmieniło się wraz z podrózami i przemieszczeniami pani Viardot.

Trudno powstrzymać się od pytania, czy było to uczucie nagrodzone wzajemnością. Niestety, nie jesteśmy dziś w stanie odpowiedzieć na to jednoznacznie. Nie można sobie jednak wyobrazić, aby taki stan przywiązania długo istniał, gdyby był jednostronny. Niezwykle inteligentna Paulina (wychowywała jego córkę) sprawiała, że kontakty te zawsze przynajmniej funkcjonowały na płaszczyźnie intelektualnej. Potrafiła ona być kapryśna i mieć wielu wielbicieli — bólało to Turgieniewa. Była dla niego krytykiem, doradcą, pośrednikiem w sferze literatury i kultury etc. Dużo jej zawdzięczał. Poznał m.in. dzięki niej wybitne osobistości świata zachodniego. Rosjanie podziwiali Paulinę Viardot, ale też mieli do niej taki, że „odebrała” Turgieniewa Rosji (np. rewolucjonista Gierman Łopatin). Nie lubiła „Cyganki” matka Turgieniewa, przepowiadając, iż ta przyniesie synowi nieszczęście. Jest to osąd bardzo surowy, zwłaszcza, gdy się zważy, że do ostatnich chwil życia Turgieniewa Paulina zapisywała jego dyktowane po francusku

zwyczał „ojcowie” („zbędni ludzie”) traktowali postać Bazarowa jako apoteozę „dzieci” („nowych ludzi”). Różniący odebrali obraz Bazarowa z kolei jako paszkwil na nich i karykaturę młodego pokolenia oraz ludzi skupionych wokół najznakomitszego pisma epoki — „Sowriemiennik” a w szczególności zmarłego przed rokiem Dobrolubowa. Dzieło Turgieniewa ma wymiar ponadczasowy. Można je również rozpatrywać w aspektach psychologicznych albo socjologicznych — jako odbicie starego jak świat konfliktu pokoleń. Nihilista, lekarz Bazarow, stawia na nauki przyrodnicze i skalpel, wiedzę empiryczną. Jest on zwolennikiem koryfeusza wulgarnego materializmu — Büchnera, Vogta, Moleschotta. Wyznając pogląd o potrzebie totalnej negacji, zanim znacznie budować, chce zniszczyć stare układy i systemy wartości. Różnie odczytywano „Ojców i dzieci” oraz intencje Turgieniewa, a określenia „nihilizm” używano, gdy chodziło o dyskredytację szeregu sympatyków i współpracowników M. Czernyszewskiego. Powieść dała asumpt do powstawania tzw. antynihilistycznej literatury rosyjskiej, w której przedstawiciele młodego pokolenia jawią się postaciami szkaradnymi, pejoratywnymi. W tej sytuacji, znalazłszy się między przysłowiową Scyllą i Charydą, pisarz udał się za granicę.

„Dym” (1867) nie wzbudził już tylu emocji. Uczyniła to kolejna powieść „Nowizna” utwór — podobnie jak „Dym” — w swych cechach bardziej amorficzny. Odszwierciedla on rozczarowanie Turgieniewa do działań władz oraz ideologii i poczynań rosyjskich emigrantów politycznych, i pesymizm wyniesiony z lektur bardzo frapującego wówczas Schopenhauera Dymem mirażem w ujęciu pisarza, są nie tylko oczekiwania, dotyczące sfery socjalnej, lecz i uczuć intymnych, szczęścia osobistego. „Nowizna” przedstawia tragiczną kartę historii rosyjskiego ruchu rewolucyjnego, poczynania narodników-propagandystów („wędrowniki w lud”). Jest to również pamflet na obóz reakcyjny.

Wypada jeszcze chociaż wspomnieć o zięjących pesymizmem „Asi” czy „Pierwszej miłości”, świadczących o bezsilności człowieka wobec ślepego losu, który decyduje o jego życiu, szczęściu. Trzeba też napomknąć o przepięknych, głęboko filozoficznych „Wiosennych wodach” i „Pieśni zwycięskiej miłości”. Miłość, według autora, to potęga, wobec której człowiek jest bezradny, nie potrafi zapanować nad nią, choć z drugiej strony poddaje się urokom, które ona w sobie kryje.

Warto jeszcze wspomnieć o pozostających pod wpływem E. Poego i Schopenhauera opowieściach tajemniczych Turgieniewa, takich jak: „Miraże”, „Pies”, „Sen”, „Opowiadanie ojca Aleksego”, „Nieszczęśliwa”, „Dziwna historia”, „Stuk... Stuk... Stuk...”, „Klara Milicz”. W niektórych z nich zauważa się odchodzenie pisarza od zasad realizmu.

Pod koniec życia Turgieniewa ukazały się, noszące intymny, autobiograficzny charakter, poematy prozą pt. „Senilia” (utwory starcze), uznawane za swojego rodzaju „spowiedź poetycką”, w których dźwięczą tendencje neoromantyczne. Zawarta jest w nich smutna filozoficzna refleksja nad życiem.

Turgieniew przyjaźnił się lub znał osobiście m.in. takich pisarzy, jak B. Auerbach, F. Bodenstedt, G. Sand, P. Mérimée, G. Flaubert, Maupassant, Lamartine, Zola, Daudet, bracia Goncourtowie.

Był czytany i popularny w Rosji i poza jej granicami. W swej twórczości nie tylko rejestrował współczesność, ale potrafił również przewidywać przyszłość. Liberal-okcydentalista umiał dostrzec też pozytywne wartości w ruchu rewolucyjnym. Za swą postawę był szykanowany przez władze carskie. Redaktor liberalnej gazety „Głos”, A. Gajewski, po śmierci pisarza zanotował w swym dzienniku: „Martwy Turgieniew w dalszym ciągu przeraża ministrów i policję”.

Tego ambasadora i propagatora literatury rosyjskiej szanowano i lubiano w Polsce. Stykał się on bądź przyjaźnił z niektórymi naszymi literatami — C. K. Norwidem, J. I. Krasińskim, W. Spasowiczem, E. Chojeckim. Na przestrzeni dziesiątków lat pod urokiem lub oddziaływaniem Turgieniewa pozostawali tacy polscy pisarze, jak E. Orzeszkowa, S. Brzozowski, S. Zeromski, T. Par-nicki.

Stosunek Turgieniewa do tzw. sprawy polskiej, do powstania styczniowego, był ambiwalentny. Nie wiedząc o tym A. Świętochowski — „papierze warszawskiego postępu” — pisał o nim z emfazą w nekrologu: „Serca swego nie otwierał nam często, ale też nie zamykał nigdy. Rozumiał nas i oceniał sprawiedliwie, był naszym przyjacielem”. W podobnym duchu — po 22 VIII (3 IX) 1883. tj. dniu śmierci, która nastąpiła w Bougival pod Paryżem w domu P. Viardot — były napisane pozostałe nekrologi na ziemiach polskich.

Przybliżeniu Turgieniewa czytelnikom polskim oddawali swe pióra (jako tłumacze) m.in. tacy pisarze, jak K. Junosza-Szaniłowski, P. Hertz, Cz. Jastrzębiec-Kozłowski, K. A. Jaworski, J. Jędrzejewicz.

Z badaczy twórczości Turgieniewa należy wymienić autora dwu znakomitych monografii o nim, profesora Uniwersytetu Warszawskiego — Antoniego Semczuka.

Dzieła stuprocentowego — wyrażając się słowami Teodora Parnickiego — Europejczyka są nadal znane i czytane. Tak z pewnością będzie również — dzięki ich walorom ideowym i immanentnym wartościom artystycznym — w przyszłości.

TURGIENIEW

Jan Trochimiak

nienkow, Konstanty Kawielln, Mikołaj Niekrasow, Iwan Gonczarow, Fiodor Dostojewski. Spotykali się oni w mieszkaniu „szalonego Wissariona” bądź na „sobotach” u Panajewa. Jako pierwszego z nich poznał Turgieniew poetę Niekrasowa, prezentującego publicznie swe wiersze w mieszkaniu Bieleńskiego. Temu ostatniemu zawdzięcza Turgieniew zapoznanie się z Gonczarowem, przyszłym antagonistą, imputującym piśarzowi plagiatstwo dzieł. Podobnie było też ze znajomością Turgieniewa z dwiema innymi postaciami, wchodzącymi obok niego do tzw. „wielkiego triumwiratu literatury rosyjskiej” — Dostojewskim i Lwem Tołstojem. Początek kontaktów Turgieniewa z Dostojewskim zapowiadała stała przyjaźń, później jednak pojawiły się między nimi rozbieżności. Czytając listy Dostojewskiego do brata, Z. Iwanowej, M. Strachowa, W. Mieszczerskiego, A. Dostojewskiej, K. Pobiednoscowa, stykamy się z mnóstwem zgryźliwych uwag dotyczących Turgieniewa oraz jego twórczości. Sam zaś Dostojewski sparodiował Turgieniewa w „Biesach” (obraz Karmazynowa).

Jeśli chodzi o relacje Turgieniew — Tołstoj, to dyskusje między nimi z czasem przeistoczyły się w spory i kłótnie, i trzeba było czekać dużo lat na ustąpienie zdraźnień i pojednanie obu pisarzy.

Obdarzony przez los ojcem birbantem i matką kobietą okrutną, kapryśną despotką, zaznał Turgieniew wiele goryczy i ciągów wymierzonych z jej polecenia przez służbę dworską. Ponizające i upokarzające było to wszystko, gdy się zestawia traktowanie Iwana i jego braci przez zawiedzioną matkę, „odbijającą” swe niepowodzenia i smutki na poddanych lub dzieciach, z hołubieniem przez nią „wychowanicę” Wareńki, owocu romansu matki Turgieniewa z nadwornym Andrzejem Berssem (w przyszłości ojcem Zofii Andriejewny Bers, żony Lwa Tołstoja).

Godzi się tutaj wspomnieć o związku Turgieniewa ze szwaczką matki, Awdotją Iwanową, w którego efekcie urodziła się córeczka Paulina. Nazwisko swe dał jej ojciec wszakże dopiero po ośmiu latach. Jesienią 1841 r., goszcząc w posiadłości Bakuninów Priemuchino (pod Moskwą), Turgieniew przeżył egzaltowanie romantyczną miłość do siostry Michała. Literatura utrwaliła to jako „romans priemuchiński”. Ma on swoje odbicie w twórczości pisarza.

Pierwszoplanową rolę w „życiorysie twórczym” Turgieniewa odegrała jednak nie Rosjanka, lecz Francuzka hiszpańskiego pochodzenia, Paulina Viardot-Garcia, słynna śpiewaczka. Urzekła Turgieniewa tak, jak i nagradzając ją frenetycznymi oklaskami publiczność petersburską, gdy występowała w stolicy imperium rosyjskiego wraz z operą włoską (1 XI 1843 r.: kilka dni przedtem poeński jej męża). Uczucie to przerwała dopiero, po 43 latach, śmierć pisarza.

Prawdziwy Turgieniew, z krwi i kości, najpełniej wyłania się z listów do Pauliny. Wyznawał: „Nie widziałem nic piękniejszego na świecie od Pani [...]. Spotkanie Pani na mej drodze to największe szczęście mego życia; moje oddanie i moja wdzięczność nie mają granic i skończą się dopiero wraz z moją śmiercią”. Z powodu Viardot prawie połowę życia spędził za granicą. Gdy państwo Viardot, jako przeciwnicy Napoleona III, zamieszkali w latach 1862—1870 w Baden-Baden, tamże, jako germanofil, znalazł się również Turgieniew. Natomiast po upadku Francji, podobnie do Viardot, zmienił i on swój pogląd. Pisał: „Teraz Niemcy są zaborcami, a do zaborców jakoś nie mam ser-

utwory, które następnie tłumaczono na język rosyjski.

Przebywając na Zachodzie, Turgieniew kontaktował się też z przedstawicielami środowisk emigrantów rosyjskich, tropionych przez władze carskie (Lawrow, Bakunin, P. Kropotkin, M. Ogariow, A. Hercen). Wspierał ich wydawnictwa (np. wydawane przez Lawrowa pismo „Wpiero”).

Drukowany debiut Turgieniewa sygnuje rok 1837. Pierwszymi jego utworami były wiersze, całkowiec należące do nurtu romantycznego. Dziełem, które przyniosło mu zasłużoną sławę, są znakomite „Zapiski myślowego” (1847—1851) — doskonałe artystycznie i bardzo postępowe w swej antypaństwowej wymowie społecznej. Humanitaryzm opowiadań, odkrywcze i nowatorskie przedstawienie życia i psychiki chłopca rosyjskiego zdecydowały, że „Zapiski” uznane zostały za klejnot literatury światowej. Równocześnie powstają utwory dramatyczne Turgieniewa, te jednak nie były notowane wysoko. Eksperymentujący autor sięgał do takich gatunków, jak komedia płaszcza i szpady, wodewil, komedia psychologiczna. Pomocne okazały się mu wzorce P. Mérimée, A. Musseta, E. Scribe’a, H. Balzaka, M. Gogola. Bezspornie największy sukces przyniosła mu komedia psychologiczna „Miesiąc na wsi”. Jako temat posłużyła w niej znana w literaturze kolizja psychologiczna, polegająca na rywalizacji w miłości — z jednej strony — kobiety dojrzałej, a z drugiej — niedoświadczonej dziewczyny. Do zdobyczy teatru Turgieniewa nawiąże w przyszłości Antoni Czechow.

Trwale miejsce w literaturze zdobył sobie Turgieniew głównie jako prozaik, a zwłaszcza twórca powieści. Nie są one skomplikowane — z jednym głównym bohaterem. On to, a nie zdarzenie, stanowi zasadniczy obiekt narracji. Podobnie jak inne typy w literaturze rosyjskiej: Oniegin Puszkina („Eugeniusz Oniegin”) i Pieczorin Lermontowa („Bohater naszych czasów”), Turgieniewowski Rudin („Rudin”) zalicza się do galerii tzw. zbędnych lub niepotrzebnych ludzi. Odznaczają się oni wielkimi walorami duchowymi, intelektualnymi, wysoką kulturą, reprezentują postępowe poglądy, ale i atroficzną wolę — są postaciami hamletycznymi. Wprawdzie bohater „Szlacheckiego gniazda”, Ławriecki, poza romantycznym entuzjazmem Rudina posiada już w sobie elementy człowieka praktycznego, nie jest jednak w stanie efektywnie walczyć z przesądami swej wybranki Lizy Kalitiny, z „próby miłości” wychodzi więc pokonany. Utwór jest przepojony tragizmem. Turgieniewowski Don Kichotem („W przededniu”) jest rannocznik (inteligent pochodzenia szlacheckiego) Insarow, rewolucjonista, Bułgar całkowiec zawiadnięty ideą wyzwolenia swego narodu z jarzma tureckiego — postać schematyczna. Człowiek o silnej woli, upórze i konsekwencji w działaniu wprowadził impowal Turgieniewowi, ale był mu duchowo obcy. Nieufnie odniósł się do tej postaci rewolucyjno-demokratyczny obóz z Mikołajem Czernyszewskim i Dobrolubowem na czele. Nie też dziwnego że ten ostatni w słynnym artykule „Kiedy nastąpi prawdziwy dzień?” wyeksponował Helenę, idealną, kochającą, czującą Rosjanekę — udany typ kobiety literatury rosyjskiej.

Następna powieść, opus magnum Turgieniewa, „Ojcowie i dzieci” (1862) niemalże przyprowadziła pisarza do depresji psychicznej. Dokonał tu autor konfrontacji dwu generacji — lat czterdziestych i sześćdziesiątych. Jedną reprezentuje rodzina Kir-sanów, przedstawicielem drugiej natomiast jest Bazarow, rówieśnik Dobrolubowa, obdarzony wieloma jego cechami osobistymi czy poglądami. Za-

NAJBARDZIEJ DEMOKRATYCZNY TEATR ŚWIATA

SILNY wiatr jeszcze bardziej potęgował efekt. Oświetlone pryzmatycznym światłem ulicznych lamp sylwetki rzuciły długie cienie na bruk Jeleniogórskiej Starówki. Początkowo niechętni, spieszący do swoich ciepłych domów, przechodnie postanowili na chwilę przystanąć. Zaintrygowanych niecodziennym widokiem, przybywało jednak z każdą chwilą. Ujrzący obraz budził ciekawość i lek zarzewia. Na wysokości dwóch pięter dostrzec było można... wisielców. Sporządzone z grubych sznurów pętle precyzyjnie opłatały bezbronne gardziele.

— Żyją czy nie? — troskała się przygarbiona staruszka.

— Widocznie mieli dosyć kryzysu — z uśmiechem wtrącił dobrze odżywiony czterdziestolatek.

— Panowie, przecież to wszystko lipa, to tylko teatr — autorytatywna wypowiedź wyglądającego na punka młodzieńca wyraźnie wszystkich rozczarowała.

Lubię wrzesień. Lubię go szczególnie spędzać w Jeleniej Górze. Wyludnione wówczas, otoczone jesiennymi Karkonoszami, pełne uroku miasto daje doskonałą możliwość relaksu. Poza bukietem zasuszonych, kolorowych liści przywozłem z tegorocznego wypadu w południowo-zachodni kraniec Polski moc wrażeń estetycznych. Przecież dostarczonych dzięki spotkaniu z teatrem.

„Wrzesień Jeleniogórski” to impreza kulturalna o wieloletniej już tradycji. Jej najlepszą, a jednocześnie najatrakcyjniejszą wizytówką są „Jeleniogórskie Spotkania Teatralne”. Z obawą myślałem o ich trzynastym edycji. Duże koszty i ogromne trudności organizacyjne stawiały ją pod znakiem zapytania. Jedną z niewielu osób, która wierzyła, że oryginalny i zaskakujący pomysł może uratować tak bardzo potrzebne społeczeństwu przedsięwzięcie, była dyrektorka Teatru im. C. K. Norwida w Jeleniej Górze, Alina Obidniak. Znana propagatorka teatru nowej formuły zaproponowała zorganizowanie Międzynarodowego Festiwalu Teatru Ulicznego. Droga prywatnych kontaktów udało się ściągnąć ponad dwustu aktorów z Polski i jedenastu krajów całego świata. W kontraktach organizatorzy zapewniali kółko i jedzenie, artyści swój talent i chęć uczestnictwa w wielkim spot-

kanu z polskim widzem w ponad trzydziestu miejscowościach woj. jeleniogórskiego, wałbrzyskiego i legnickiego.

W okresie od 30 sierpnia do 10 września prawie trzydzieści razy teatry wychodziły na spotkanie ze swoimi widzami-przechodniakami. Były to różne koniaki. Raz mniej, raz bardziej spontaniczne. Mieszkańcy Jeleniej Góry oraz innych miast i miasteczek, do których przywędrował teatr, dowiedziawszy się wcześniej o jego planowanej wizycie, czekali całymi godzinami na „podniesienie kurtyny”. Artyści nie byli w stanie zaakceptować takich sytuacji. Zaskoczenie widza to przecież główny ich cel. Wtargnięcie w przypadkowy tłum i rozbawienie go, to dopiero sukces. Teatr uliczny nie znosi oczekującej na niego widowni, chociażby była ona najbardziej wdzięczna i oddana. Polscy widzowie oczarowali jednak zagranicznych aktorów. Momentalnie dawali się wciągnąć do wspólnej zabawy, w lot chwytali zwiariowane żarty i dowcipy. Język nie stanowił wielkiej bariery. Ruch, gest zastępował słowa. Śmiech wszędzie brzmiał jednakowo i szczerze.

Francuz Bernard Mangin ubrany w cyrkowy uniform biegał i „malpował” czynności zaabsorbowanych przechodniów. Dwóch ludzi wykonujących te same czynności przy kiosku „Ruch”, straganiu z kwiatami to niby nie specjalnego, a jednak. Dr Kuppel (prawdziwy doktor medycyny, temat jego pracy — „Choroby zawodowe aktorów”) z RFN stał się szybko ulubieńcem dzieci. Długi, czerwonawy język i takie oczy wprawiły je w prawdziwą euforię. Wiele zespołów opierało swoje spektakle na elementach pantomimy. „Język” ciała docierał do widzów najszybciej. Prosiutka, kilkutaktowa muzyka momentalnie stawała się ulicznym przebojem. Na takie miłośnicy zasłużyli również lalki Manuelle Mechtel. Zachodniemiecka artystka nie musiała zbytnio troszczyć się o widownię. Maluchy oblegały ją na każdym kroku. Olbrzymich rozmiarów maski i kukły budziły raz uśmiech, raz łzy. Ubawieni rodzice długo musieli przekonywać swoje pociechy, że potwór na patyku nie im złego nie zrobi, że to tylko teatr. Lecz dzieci chciały bajek i strachów. Szeroko otwartymi oczami podziwiali lalkowe

spektakle z Francji, Hiszpanii, Republiki Federalnej Niemiec i Polski. Wspólna zabawa zmuszała często także do głębszych refleksji. Teatr L.Haricot z Paryża postanowił patrzeć na widzów z góry. Wysokie szczyta wynosiły jednego ponad drugiego, jak w życiu. Trzy dziewczyny z amerykańskiej awangardowej grupy Faces Multimedia próbowały opowiedzieć przeżycia, jakich doznawały podczas czterdziestu dni i nocy spędzonych na Saharze.

Porównanie prezentowanych spektakli wymyka się jednoznacznej ocenie. Trudno, stosując tylko kryteria artystyczne, dokonać klasyfikacji. Oczywiście jedne spektakle podobały się bardziej, inne mniej. Faktem jest jednak, że na to, co widzieliśmy na polskich ulicach i placach, spojrzeć trzeba w znacznie szerszym kontekście. Teatr uliczny nie daje się zaklasyfikować, precyzyjnie określić czy zdefiniować. Ważny jest tak samo artysta jak i widz, zarówno umiejętność gry oraz spontaniczność reakcji na nią. Dopiero pełne powodzenie po obu stronach sceny rokuje nadzieję na bisy. Podczas I Maratonu Teatru Ulicznego rozbrzmiewały one wielokrotnie. Przedstawienia zaplanowane (7) na kilkanaście minut trwały całymi godzinami. Na oczekaniu rozdzili się żarty, zabawne gesty i sceny. Atmosfera wspólnie przeżywanej radości prawie z niczego. Trochę kolorowych ciuchów, umalowanych twarzy, niecodziennych rekwizytów... dużo humoru.

Maraton odniósł wielki sukces, nie spodziewali się go chyba nawet najwięksi optymiści z Aliną Obidniak na czele. Aktorzy zapowiedzieli swój przyjazd za rok, widzowie chcieli ponownie gościć ich znacznie wcześniej. Przekonali się, że teatr to nie tylko bilety z zakładu pracy i uwierający kołnierzyk świątecznej koszuli. Nuda, szaryzna dnia codziennego może przegrać z tym rodzajem teatru, który widzieli, który ich zafascynował. Najbardziej demokratyczny teatr świata trafiłby chętnie do innych części naszego kraju, myślę, iż również do Lublina. Może spróbujemy rozbawić nasze ulice? Koszt niewielki, a sukces mурowany.

A. B-i



Gra z wyobraźnią

ROZMOWA Z MARIUSZEM RYBICKIM

— Przeglądając numery „Kamery”, wielokrotnie zastanawiałem się, skąd pochodzą niesamowite pomysły do twoich rysunków?

— Sięgając pamięcią wstecz, zawsze nosiłem ze sobą zeszyt i ołówek. Utrwalałem na papierze wszystko i wszędzie. Miałem nawet z tego powodu niemało kłopotów szczególnie w szkole. Częstość wizyt u wewnątrzniacza się rysunkowej pasji zależała od charakteru lekcji. Jeśli lekcja była nudna (a te niestety przeważały), skupiałem się przede wszystkim na rysowaniu. Nie przeszkadzało mi to jednak pomyśleć ukończyć szkołę. Do dziś zachowało się sporo groteskowych malunków z tamtych

lat. Wraz z dorastaniem doskonaliłem zdolności plastyczne, aż doszło do tego, że poświęcałem „poważnemu” stawianiu kresek coraz więcej czasu. Podczas pobytu w Holandii ujawniłem przypadkowo znajomym swoje rysunki, co zaowocowało samodzielną wystawą grafiki w galerii Lekkerkerk (dzielnica Rotterdamu). Oglądała ją, sądząc po wpisach do pamiętkowej księgi, wiele osób. Później otrzymałem propozycję zorganizowania podobnej ekspozycji w Londynie, ale z różnych powodów do wystawy nie doszło.

— Twoja grafika różni się znacznie od propozycji satyryków. Co inspirowało cię do utrwalania nietypowych, niekiedy wręcz szokujących wizji?

— Nie od dziś jestem wielkim pasjonatem literatury science fiction. Przeczytałem niemalże wszystkie z tego gatunku i ślad ich pozostał w świadomości. Intryguje mnie też surrealizm, zwłaszcza zaś dzieła Salvadore Dali. Połączenie obu tych sztuk przy moim wyczerpaniu na trudną muzykę symfoniczną daje takie, a nie inne efekty. Słuchając dobrej muzyki, mam automatyczny dopływ do malowania. Sporo swoich prac wykonałem w oleju, choć najbardziej lubię grafikę. Czerń i biel pobudzają moją wyobraźnię. Prócz tego, grafika jest dla mnie wygod-

niejsza niż malarstwo olejne. Jestem muzykiem zmuszonym zawodowo do nieustannych podróży. Wojaże z płótnami, sztalugami byłoby ogromnie uciążliwe. Natomiast komplet stalówek i tusz zajmują niewiele miejsca. Często spotykam się z pytaniami o katastroficzną wymowę moich prac. Ale czy w dzisiejszym zbrojącym się nieustannie świecie potrzebne są jakiegokolwiek wyjaśnienia w tym temacie? Zbrodnie, jakich dokonała dotąd ludzkość, są znikome w porównaniu z tymi, które planuje się ostatnio. Fantastyka katastroficzna niektórych rysunków to nie rodzaj bajki międzygwiazdowej dla dzieci, ale ostrzeżenie. Tak przynajmniej to traktuję. Zawsze cenilem perfekcję w działaniu i dlatego ogromnie podobają mi się dzieła malarstwa Salvadore Dali, literackie Barringtona J. Bayley'a i muzyczne Al Di Meoli. Zdziwiła mnie dokładność ich wypowiedzi i niesamowita wyobraźnia.

— Wspomniałeś o muzyce. Jaki gatunek preferujesz szczególnie?

— Nie dzielę muzyki na gatunki, tylko na dobrą i złą. Sam staram się uprawiać tę pierwszą, choć ocena nie należy do mnie. Od wielu lat pasjonuję się światem dźwięków jako muzyk estradowy. Grałem już z własnym zespołem Stress (notabene pre-

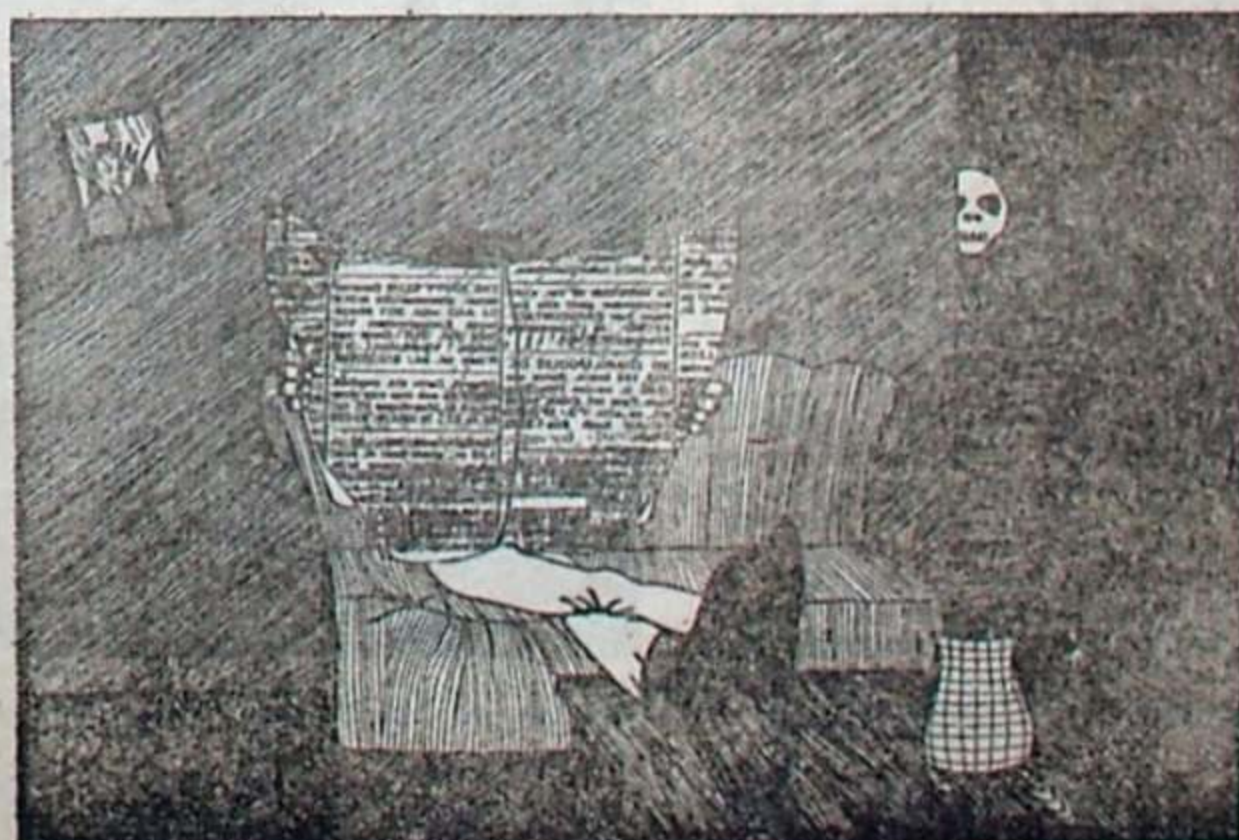
kursorem progresywnego rocka w Polsce), Urszulą Sipińską i Zbigniewem Wodeckim, orkiestrą PRITV pod dyktando Zbigniewa Górnego, a później z holenderską grupą muzyczną Grape Wines. Obecnie wspomagam gra na gitarze zespół towarzyszący Eleni Dzoka. Właśnie przed kilkoma dniami ukończyliśmy zgrzywanie tańm do jej siódmego albumu. Zrobiłem do niego wszystkie aranżacje. Słucham uważnie propozycji naszych rockmanów i doprawdy zdumiony jestem prymitywizmem większości grup. Wbrew pozorom i reklamie, jaka sobie robią, nie zbliżają one młodego odbiorcy do muzyki. Stwierdzenie o drewnianym uchu nie będzie tu przesadą.

— Nad czym pracujesz obecnie?

— Chciałbym przygotować nowy cykl grafik dla „Kamery”. Na ukończeniu mam też wierszowaną powieść fantastyczną napisaną z myślą o dzieciach pt. „Karolseja”. Po uzupełnieniu jej własnymi futurystycznymi ilustracjami, mam nadzieję wydać książkę w niedalekiej przyszłości. Próca tego trochę komponuję.

— Zatem życzę powodzenia.

Rozmawiał: Istvan Grabowski



Egzaminy sprawdzające

Maria Wilińska

WSPÓLCZESNA dydaktyka, a raczej decydenci od dydaktyki wnieśli do praktyki szkolnej wiele nowości. Choćby wspomnieć „Kodeks ucznia” — uczniowską konstytucję, mającą wprowadzić współpartnerstwo w stosunkach nauczyciel-uczeń i współodpowiedzialność za sprawy szkoły w ogóle. Jak ta „uczniowska konstytucja” sprawdziła się w codzienności szkolnej my, nauczyciele, wiemy najlepiej — po prostu uczeń korzysta z przywilejów kodeksu, a nie chce podporządkować się obowiązkom i ewentualnym karom wynikającym z nieprzestrzegania tego kodeksu.

Dopuszczyć ucznia do partnerskiego dialogu w sprawach przydziału stypendiów, zapomóg czy ustalania pewnych form pracy wychowawczej w klasie jest i wychowawcze i sprawiedliwe, a więc pożyteczne. Ale w najzdrowszych doktrynach pedagogicznych obowiązkiem ucznia jest przede wszystkim uczyć się, a nauczyciela — dbać o właściwe wyposażenie w wiedzę swoich uczniów i o stan ich wychowania.

Inną nowością w dydaktycznej sferze działania szkoły stały się od dwóch lat egzaminy sprawdzające. I znowu byłoby to nowość ze wszech miar pożądana, gdyby nie usiłowała załatwić wszystkiego, co się łączy ze sprawdzeniem wiadomości ucznia — bo w gruncie rzeczy tego nie załatwia.

Egzamin sprawdzający powinien składać (po spełnieniu odpowiednich formalności) ten uczeń, którego zdaniem jego wiadomości z danego przedmiotu nie zostały przez nauczyciela właściwie ocenione — i to nie tylko w przypadku zaniżonej oceny. Wówczas taki egzamin, przeprowadzony na trzy dni przed końcową klasyfikacją, ma sens. Tymczasem egzaminy sprawdzające stały się popularne w praktyce szkolnej, prawie wyłącznie jako jedyna forma umożliwienia uczniowi poprawy oceny niedostatecznej — i tu zatracą się charakter właściwy temu egzaminowi, bo kogo ma on sprawdzić? Nauczyciela na pewno nie — ponieważ niedostateczna ocena jest przez niego najbardziej przemyślana, obiektywna, wyważona. Uczeń słaby jest częściej przez nauczyciela kon-

trołowany. Ucznia, a raczej jego wiedzę — także nie, gdyż jej nie posiada lub posiada w niewystarczającym stopniu. Z kolei przez kilka dni nie jest w stanie jej zdobyć.

Tak więc instytucja egzaminów sprawdzających utrzyma swój status pod warunkiem przywrócenia egzaminów poprawkowych w szkole.

Egzaminy sprawdzające powinny być zachowane dla tych uczniów, którzy wystawioną przez nauczyciela ocenę uważają za krzywdzącą bądź nieadekwatną do ich poziomu wiedzy. Wszyscy inni uczniowie z oceną niedostateczną, wystawioną zgodnie z ich stanem wiedzy, ale ze względu na specyficzne uwarunkowania, jak choroba, wypadek losowy w rodzinie lub trudne warunki domowe, powinni mieć możliwość składania egzaminu poprawkowego. Egzamin taki rzeczywiście był przed dwoma laty, i byłby nadal, szansą ukończenia klasy dla niejednego ucznia. Przez dwa miesiące bowiem można wyrównać braki w opanowaniu materiału programowego z jednego, a nawet dwóch przedmiotów; nie ma tej możliwości w przypadku egzaminów sprawdzających. Ponadto, przywracając egzaminy poprawkowe, można by nadać prawdziwy charakter utrzymanym nadal egzaminom sprawdzającym.

Podjęty temat niech będzie jednym z głosów kompetentnej opinii publicznej w sprawie modyfikowania systemu kontroli wiedzy ucznia w ogóle, a ucznia zagrożonego w szczególności. Niech będzie również refleksją na temat zaufania do etycznych zasad pracy nauczyciela.

Śmierć niekoniecznie w bikini

CZĘSTOLIWOŚĆ, z jaką zmieniają się na szczycie gwiazdorzecy sceny rockowej, przypomina burzliwe dzieje Cesarstwa Rzymskiego opisywane barwnie przez prof. Aleksandra Krawczuka. Ci, którzy wynoszą dziś idola na piedestał, mogą już jutro zapomnieć o nim i bez żenady złożyć go do grobu. Stąd gwiazdą nr 1 bywa się u nas krótko, nie dłużej niż dwa sezony. Niedawny gość Lublina — grupa Republika — służyć może jako żywy dowód tej tezy.

Przed rokiem wiatowano na jej cześć, chwalcono z lewa i prawa, podnoszono zaśluzi dla ożywienia rodzimej sceny rockowej. Obecnie entuzjazm tłumów zmalał prawie do zera, zaś młodzi fani, upatrujący niegdyś w Grzegorz Cichowskim charakterystyczną postać Wielkiego Reformatora, kolportują teraz złośliwe anegdoty na temat jego blond grzywki. Szczerze mówiąc, nie jestem zdziwiony reakcjami nastoletnich słuchaczy. Pierwsza płyta długogrająca i powtarzane w wielu wydaniach recitale Republiki udowodniły aż nadto jasno, że grupa wykorzystala daną jej szansę w rywalizacji o rockowy prymat, a jednocześnie powiedziała już wszystko, wypalając do dna swe „akumulatory”. Dalsze eksploatowanie tego samego wzorca nie ma najmniejszego sensu, zaś zdobyć się na coś nowego, odmiennego od wypracowanego przed dwoma laty ideału, jest szalenie trudno. Wrzesniowe koncerty Republiki w hall WOSIR przepełniły, w przekonaniu wielu słuchaczy, czarą gorczy. Obalili nieźle dotąd funkcjonujący mit.

Republika nigdy nie była zespołem wirtuozów. Muzycy grali na średnim poziomie, zaś rozgłos zapewniły im niekrytyczne, jakże różne od polskich zespołów rockowych, brzmienie i futurystyczna poetyka mocno dyskusyjnych tekstów Cichowskiego. Sam lider grupy, animator jej wszystkich poczynań i muzyczny teoretyk, nie należy do wielkich magów klawiatury, ani mistrzów wokalistyki. Wiele można by mu zarzucić, słuchając koncertu nie tylko w marniej akustycznie hali sportowej. Kiedy własną występował przed lubelską publicznością, zapowiadał rychłą zmianę repertuaru, który powinien zaskoczyć największych malkontentów. Minęło kilka miesięcy i Republika staraniem Ośrodka Sztuki Estradowej pojawiła się u nas znowu z... tym samym programem i tą samą, denerwującą manierą. Gdyby wyeliminować teksty piosenek i tak nieczytelne, wina akustyki i nie najlepszej dykcji wokalisty, można by odnieść wrażenie, że słuchamy po raz sto pierwszy tych samych kompozycji, nie różniących się między sobą prawie niczym. Ten sam sposób atakowania frazy, to samo tempo, identyczny rytm, artykulacja i podobnie uboga melodyka nie mogą zwiść nawet półsłuchego (od decybelli) odbiorcy Grzegorz Cichowski, mimo wielu krytycznych uwag serwowanych mu przez kolegów po piórze, uparł się być „geniuszem” i zawierzyć swemu talentowi. Jak daleko zawiódł go ów talent kompozytorsko-wokalny, można było dostrzec w trakcie ostatniego koncertu.

Zgodzą się chyba entuzjaści Republiki z twierdzeniem, że wszelkie nowinki muzyczne i eksperymenty dźwiękowo-interpretacyjne są dobre dopóty, dopóki nie powieła się ich bezkarnie w dziesiątkach identycznie brzmiących kopii. Tymczasem Republika popelnia niestanny autoplgiat wcześniejszych propozycji. Stąd „Arktika”, „Mój imperializm”, „Układ sił”, „Halucynacje” i „Znak równości” to nic innego jak minimalnie zmodyfikowane rytmicznie wersje „Sexy doll”, „Białej flagi”, „Telefonów” i „Śmierci w bikini”.

W pewnym momencie „twórczego rozwoju” toruńscy muzycy przyjęli na swe barłki uciążliwe, ale procentujące szaloną popularnością obowiązki odnowicielei, bądź uzdrowicielei polskiego rocka. Początkowy kredyt zaufania fanów pozwolił im błyskawicznie osiągnąć szczyt sławy. Niestety, pokładanych w nich nadziei nie spełnili. Zamiast konsekwentnie zmierzać dalej i odkrywać nowe fascynujące dźwięki, zatrzymali się w miejscu, powtarzając na zasadzie katarzynki te same zagrania, chwytły i grepsy. Zdecydowany brak krytycznego spojrzenia nastoletników zdecydował o przedłużającym się okresie stagnacji. Ale „nie może być wiecznie trwałe” — jak śpiewała niegdyś Anna Jantar. Niestanne eksploatowanie najbardziej nawet oryginalnej tech-

nik musi się kiedyś znudzić. Republika pogubiła proste zdawałoby się drogi i tym samym wydała na siebie wyrok.

Sądziłem, że po nagraniu albumu „Nowe sytuacje”, sygnalizującego już niezdrowe tendencje stagnacji, grupa zdola otrząsnąć się z narzuconego sobie dobrowolnie gorsetu. Niestety na próżno. Prawde mówiąc, należało się tego spodziewać. Trudno bowiem wymagać od jednego faceta, który wymyślił od A do Z nowatorski program, ustawił go interpretacyjnie, barwowo i brzmieniowo, by nagle ni stąd, ni zowąd przeszedł głęboką metamorfozę i zaczął pisać zupełnie inne kompozycje. Historia poucza, że na taki gest nie stać było nawet największych geniuszy estrady, a Cichowski geniuszem nigdy nie był. Owszem, podobał się bardzo, robił niebanalne, momentami intrygujące rzeczy i brylował w gronie wielkich naszego światka muzycznego tak długo, dopóki nie odkrył do końca swych tajemnic. Wtedy bowiem okazało się, że osiągnął już kres twórczych możliwości i bez pomocy kolegów z zespołu nie jest w stanie wznieść się na wysokie wcześniej wypracowane pozycje. Ale pomoc kolegów nie nadeszła i tym samym należy spodziewać się powolnego zmlerzchu popularności Republiki.

Oczywiście, przewiduję jeszcze próby zapobieżenia krachowi, wydania niby nowej brzmieniowo płyty, podtrzymywania, choćby na siłę, mitu poszukiwania nowych rozwiązań, niemniej skutek owych wysiłków będzie prawie identyczny z obecnymi, czyli żaden.

Przypuszczam, że Republika nigdy nie zagra już inaczej, bo nie potrafi. Sama stworzyła sobie złotą klatkę, w której przyjdzie jej dokonać artystycznego żywota. Nie dziwię się przeto rozczarowaniu młodych ludzi spodziewających się od Grzegorza Cichowskiego i jego przyjaciół więcej intrygujących wrażeń. W ciągu 60 minut koncertu (za 300 złotych!) nie dostali nic poza tym, co dobrze znali z wcześniejszych prezentacji radiowych i scenicznych wychwalanej grupy Ze były to pochwały dawane na wyrost, uświadomili sobie dopiero po dwóch latach faworyzowania zupełnie przeciętnych muzyków, na dodatek chętnie podpierających się cudzymi pomysłami (forma muzyczna grupy XTC i białoczar-na scenografia Jethro Tull).

Oczywiście, Republika nie jest wyjątkiem. Podobnie do niej, muzyczne samobójstwo popelnili wcześniej gwiazdy na miarę Izy Trojanowskiej Perfectu i TSA. Za rok dowiemy się pewnie o narodzinach nowego idola. Intryguje mnie już dziś pytanie, jak długo będzie jego powodzenie.

I. G.



Republika

Fot. Antoni Zdebiak

Ekran i widz

Bonaterowie się starzeją

W KINACH repertuarowa posucha; wydawałoby się, że film sensacyjno-kryminalny, francuski z nazwiskami w czołówce tej miary, co reżyser Henri Verneuil i aktor Yves Montand ściągają do kas tłumy. Tymczasem — na projekcjach „I... jak Ikar” — pustawo. Gdzie te czasy, kiedy bito się o bilety na komedie Verneuila „Wróg publiczny nr 1” albo kiedy płacono każdą cenę na wejście na „Cenę strachu” i „Bohaterowie są zmęczeni” z Ivesem Montandem w głównej roli... Właśnie wtedy, w połowie lat pięćdziesiątych, Montand i Verneuil „robili sobie” nazwiska; upłynęło od tych czasów lat trzydzieści i obydwa bohaterowie francuskiego kina zbliżają się do wieku emerytalnego.

Jaki jest bilans ich twórczości? Na pewno wysoki — jeśli chodzi o bohatera „Ceny strachu”, „Czarownic z Salem”, „Pokochajmy się”, „W kregu da”, „Mani wielkości”, „Samotnika”. Niewątpliwie przelotny — w wypadku twórcy „Pietrucha”, „Week-endu w Zuydcoote”, „Klanu Sycylijskichów”, „Strachu nad miastem”. Niestety, najmniej efektownie wypadła fuzja: Verneuil—Montand w „I... jak Ikar”. Zarówno reżyser jak i aktor — nie zachwycają. Gwoli sprawiedliwości trzeba powiedzieć, że bez obecności Montanda film byłby w ogóle dość trudny do strawienia. I nie uratowałby go sam tylko ciekawy (a właściwie: frapujący dla widzów z całego świata) pomysł, na jakim został oparty.

A więc: intryga nie tylko ciekawa, odkrywcza, ale wzbudzająca zainteresowanie potencjalnego widza. „I... jak Ikar” nawiązuje do zabójstwa prezydenta Johna Kennedy'ego oraz prowadzonego w tej sprawie śledztwa, zwieńczonego raportem komisji Warrena. Raportem, który ostatecznie nie wyszedł poza stwierdzenie, że zabójcą prezydenta USA był niepełnosprawny umysłowo, działający „na własną rękę”, Lee Oswald. Do dzisiaj sprawa tego morderstwa pozostaje zagadką i mało jest na świecie ludzi, którzy by wierzyli, iż było ono dziełem samotnego maniaka, terrorysty lub wariata.

„Przypadek” Kennedy—Oswald—Ruby stał się wdzierającym tematem nie tylko dla tysięcy artykułów prasowych, ale także inspiracją dla autorów licznych książek. M. in. wyjaśnienie „zagadki z Dallas” (oczywiście przy zastrzeżeniu, że „przedstawione tutaj fakty i postaci nie mają nic wspólnego z osobami fizycznymi i są wymysłem autora”) usiłuje dać znany francuski dziennikarz Pierre Rey w powieści „Le Grec”. Reżyser Henri Verneuil zastrzeżenie się jeszcze bardziej, że nie tu nikomu nie sugeruje, umieszczając w czołówce filmu cytaty z Borisa Viana: „Ta historia jest całkowicie prawdziwa, ponieważ sam ją wymyśliłem od początku do końca”, co, oczywiście, ma wzbudzić tym większe zainteresowanie wi-

downi: „odkrył prawdę, ale boi się mówić o tym wprost, bo obawia się czyjeś zemsty”.

Jest w więc w „I... jak Ikar” na ekranie samochód prezydenta przejeżdżający wśród rozruszanych tłumów ulicami nowego, bliżej nie określonego kraju. Jest domniemany morderca strzelający z najwyższego piętra wieżowca. Jest komisja badająca okoliczności zabójstwa. I jest szlachetny prokurator Henry Volney (Yves Montand) nie uznający ustaleń komisji i podejmujący na własną rękę śledztwo.

Potem jednak fantazja ponosi Verneuila wciąż dalej i dalej. W kierunku jakichś bliżej nie sprecyzowanych powiązań służb wywiadowczych kraju oraz służb bezpieczeństwa wewnętrznego z międzynarodowymi organizacjami mafijnymi, w stronę mało odkrywczych spekulacji na temat tyranii, w rodzaju stwierdzeń: „Tyran potrzebuje przede wszystkim stanu tyranstwa, a więc przystąpi do rekrutacji milionów małych tyranów-funkcjonariuszy, z których każdy będzie miał do spełnienia pewne bardzo banalne zadanie. I każdy będzie wykonywał je z pełną kompetencją i bez najmniejszych wyrzutów, bo nikt nie będzie sobie zdawał sprawy z tego, że jest milionową częścią aktu końcowego”. Ilustracją owej tezy — która, jak się wydaje, miała stanowić o psychologicznej „podbudowie” sensacyjno-kryminalnego dreszczowca — jest ponad miarę rozbudowana, aż do znużenia, sekwencja prokuratora Volney'a w zakładzie uniwersyteckim, kierowanym przez psychologa, profesora Naggara. Sekwencja ta łamię dramatyczną konstrukcję filmu, i bez tego pozostawiającą wiele do życzenia. Dochodzi do tego wszystkiego jeszcze podle — z wyjątkiem Montanda — aktorstwo; niedopracowanie ról ani przez aktorów, ani przez reżysera.

Na koniec, rzecz chyba zasadnicza: „I... jak Ikar” kręcony był bardziej w konwencji widowiska telewizyjnego, jakiegoś, bo ja wiem, „teatru faktu” z tzw. „plenerowymi dokrętkami filmowymi”, niż w artystycznym wymiarze „prawdziwego kina”. Może zupełnie inaczej oglądałoby się go na szklanym ekranie. Na ekranie kinowym — razi, pozostawia wrażenie niedosytu, stosowania przez reżysera jakichś uproszczeń inscenizacyjnych, które umykają zwykle uwadze w telewizji.

Tak naprawdę, to najbardziej podobał mi się w „I... jak Ikar” zawodo- wiec-włamywacz, przypominający z wyglądu polskiego reżysera filmów-gigantów, Jerzego Hoffmana.

M. D.

Krzyżówka nr 24

Szyfrogram literacki

	1	2	3	4	5	6	7	8	9	10	11	12	13
14	15	16	17	18	19	20	21	22	23	24	25	26	
27	28	29	30	31	32	33	34	35	36	37	38	39	40
41	42	43	44	45	46	47	48	49		50	51	52	
53		54	55	56	57	58	59	60	61	62	63	64	65
66	67	68	69	70	71	72	73	74	75		76	77	78
79	80		81	82	83	84	85	86	87	88		89	90
91	92	93		94	95	96	97		98	99	100	101	102
104	105		106	107	108	109	110	111	112	113	114	115	116
	118	119	120	121	122	123		124	125	126	127	128	129
131		132	133	134	135	136	137		138	139	140	141	

Do odgadnięcia wyrazów pomocniczych należy przenieść do diagramu na miejsce liczb odpowiadające im litery i odczytać rozwiązanie — fragment powieści autora, którego imię i nazwisko utworzą pierwsze litery 19 początkowych wyrazów pomocniczych. Czarne pojedyncze kratki w diagramie oznaczają koniec słowa, a podwójne — zdania.

- Wyrazy pomocnicze:
1. Wiele pod Bochnią ze słynnym zamkiem — 54, 19, 115, 31, 40, 124, 34.
 2. miasto diabła Boruty — 91, 29, 12, 87, 193, 16, 128.
 3. widełki do połowu ryb — 99, 35, 116, 79, 65, 73.
 4. duch w „Matce Joannie” — 95, 23, 131, 123, 18.
 5. mąż córki — 132, 117, 37, 137.
 6. przyprawa do flaków — 127, 119, 146, 22, 3.
 7. wielkogłowa ryba słodkowodna — 129, 28, 47, 10, 84, 50.
 8. gość nie widziany — 119, 78, 122, 24, 100, 29.
 9. odpowiada w górach — 130, 35, 125, 111, 123, 18.
 10. olej na przecyzszenie — 167, 15, 39, 109, 44, 4.
 11. bliznowata tkanka np. w płucach — 163, 59, 139, 27, 101, 90.
 12. mieszka obok — 63, 49, 1, 64, 30, 69.
 13. ostroja zwierzy — 133, 7, 135, 83, 60.
 14. podziemny ped wieloletnich roślin zielnych — 48, 123, 141, 56, 78, 83.

15. egipski bóg zmarłych — 51, 13, 24, 102, 97, 134.
 16. naprawa, odnowienie — 86, 95, 46, 6, 14, 104.
 17. do połowu ryb — 138, 95, 29, 82.
 18. jeden z czterech w izbie — 71, 53, 96.
 19. siła rozpedu — 32, 21, 166, 92, 8.
 20. np. Lublin — 80, 43, 61, 81, 119, 78.
 21. do przekucia na fermisz — 85, 87, 41, 74, 57.
 22. wytwarza leki, środki czyszczące itp. — 124, 17, 63, 92, 82, 9.
 23. w oknie — 33, 25, 55, 89, 77.
 24. na kole samochodu — 72, 2, 121, 113, 103.
 25. wielkanocne ciasto — 52, 75, 94, 43.
 26. generał, bohater Polski i Węgier — 66, 11, 112.
 27. referat — trawa — 43, 114, 5, 136.
- Rozwiązania można nadsyłać w ciągu 10 dni od daty ukazania się numeru pod adresem redakcji (skr. pocz. 231 20-950 Lublin). Wśród autorów prawidłowych rozwiązań rozlosujemy boni książkowy wartości 500 zł.
- Rozwiązanie krzyżówki-szyfrogramu nr 22 „On to rozpiętym ognem jak tęcza wachlował całe towarzystwo. Stół był w tym miejscu przedzławiony i mały chłopak dla nikogo niewidoczny siedział pod stołem i poruszał dźwięnią pawiego ogona”.
- Józef Ozga-Miechalski
„Sowizdrzał świętokrzyski”
Nagrode wylosował Józef Woźniak, ul. Malopolska 23, (Dom Rybaka), 79-515 Szczecin.



Zapytano swego czasu Rivarola, dlaczego poeta M. popełnił samobójstwo. — Do życia trzeba znacznie więcej istotnych powodów, aniżeli do śmierci — brzmiała odpowiedź.

Piron pojechał do Brukseli, aby poznać Russa. Ten zaprosił go na spacer. Kiedy byli z miastem, zabrzmiał dzwony wieczorne. Russo uklęknął, aby odmówić modlitwę. — Co pan robi, panie Russo — zapytał Piron — przecież nikt nas nie widzi, oprócz Boga.

Kiedy w pewnym towarzystwie Wolter mówił pochlebnie o pisarzu szwajcarskim Hallerze, obecny przy tym rodak Hallera zaznaczył, że pisarz ten całkiem inaczej myśli o Wolterze. — Zapewne mylimy się obaj — odparł Wolter.

Paweł Ford przyjechał do Londynu n... y. Nie znając słynnej Wieży Londyńskiej, kazal się tam zaprowadzić... i notes i rozpoczął notować wrażenia. W tej chwili nadleciał kruk, który rzucił się na notes i przy tym boleśnie skaleczył poetę w rękę. Jak się okazało, turyści zwiedzający Wieżę mają zwyczaj karmienia gnieżdżących się tam kruków chlebem, i kruk wziął notes Forda za chleb. Na odczyt poeta francuski zjawił się z obandażowaną ręką i oświadczył publiczności, że jest ostatnią ofiarą wojny Białej i Czerwonej Róży.

Wyszperal: Ryszard Dunin



Rys. Józef Tarłowski

Założyciele: Kazimierz Andrzej Jaworski i Zenon Waśniewski.

Redaguje zespół: Marek Adam Jaworski (redaktor naczelny), Zygmunt Mańkowski, Maciej Podgórski (sekretarz redakcji) członkowie Kolegium Redakcyjnego oraz Anna Dodias, Mirosław Derecki, Tadeusz Jasicki (kierownik działu literackiego), Ireneusz J. Kamiński (kierownik działu publicystycznego), Henryk Pająk, Waldemar Piasecki, Waldemar Stępień (fotoreporter) Redaktor techniczny — Ewa Dybek Korektor — Barbara Caban.

Redakcja nie zwraca materiałów nie zamówionych, zastrzega sobie skróty w sprawach literackich przyjmuje interesantów kierownik działu w piątki w godz. 14—16.

Wydawca: Substancja Spółdzielcza Wydawnicza „Prasa-Książka-Ruch” Lubelskie Wydawnictwo Prasowe w Lublinie, ul. Jasna 8, tel. 255-12.

Druk: Lubelskie Zakłady Graficzne im. PKWN w Lublinie, ul. Unicka 4.

Adres redakcji: 16-023 Lublin, ul. Skłodowskiej 1/A.

Telefony: sekretariat, redaktor naczelny 255-93, sekretarz redakcji 218-93, dział publicystyki i literacki 278-34.

Korespondencje i wyciągi prosimy kierować pod adresem 20-030 Lublin, skrytka pocztowa 231, poczta i ekspresowe — pod adresem redakcji.

Wyd. 700/95 7.03.80 7. 3-4

BRUCE LEE: prawda i legenda

- 8 -

Zejsście Smoka

Michał Rey



Aktoreczka Betty Ting zasłynęła wyłącznie dzięki znajomości z Małym Smokiem.

Reprodukcja: Jacek Mirosław

Tradycyjnie zaczniemy od odpowiedzi naszym Czytelnikom. Trochę listów i innych form kontaktu (telefonów, wizyt osobistych w redakcji) się zbierało, co wynika z dłuższej przerwy w publikacji cyklu spowodowanej formułą numeru jubileuszowego „Kameny”. Konrad Witkiewicz (Białystok) sugeruje wydanie serialu o Małym Smoku w formie książeczki. Zapewnia przy tym, że jej sukces byłby murowany i doradza kontakt z Krajową Agencją Wydawniczą — najszybszym polskim editorem. Dziękujemy za miłe słowa i rady.

Aniż Tomasiak (Otwock) spieszymy uspokoić, że adresy fan-klubów Bruce'a Lee za granicą będziemy publikować i będzie mogła z nich skorzystać. Zapewne nie tylko ona... Polemizować będziemy z „Mecenasem Karolem Emilia H.”, który zarzuca nam propagowanie brutalności, chamskiego i dominacji siły fizycznej nad duchową. Nie wydaje nam się, aby w dotychczasowych odcinkach znalazły się sformułowania schlebające takiemu „prymitywizmowi” gustów młodzieży polskiej s.d. 83 (czy pan „Mecenasie” nie przesadza?), choć oczywiście może mieć pan zdanie, które na dodatek — wbrew pańskim enuncjacjom — publikujemy. Równie dobrze moglibyśmy dyskutować, czy pokazwane w telewizji filmy wojenne (choćby dotyczyły najbardziej szczytnych kart naszej historii) nie uczą dzieci i młodzieży brutalności. To samo w przypadku produkcji i sprzedaży „militarnych” zabawek (pistoletów, karabinów, czołgów etc.). Z przykrością piszemy w tym miejscu o fakcie pobicia w godzinach wieczornych przy zastawianiu (pseudo) techniki karate 11-letniego Januszka M. (Lublin) — o czym powiadomiła nas jego mama — w celu odebrania dziecku pieniędzy. Jest to margines wschodnich stylów walki, o czym zresztą pisaliśmy w swoim czasie. Zdarzenia takie mimo ich naganności, będą się trafiły; rzecz w tym, żeby były incydentalne. Markowi Kalkietemu (Kraśnik) odpowiadamy, że cykl nasz zamknie się liczbą dziesięciu odcinków i nie będziemy go przedłużać. Nie będziemy też drukować — co nam sugerujesz — następnego serialu o mistrzu chińskiego Wu-szu Li Lian Tse, którego oglądałeś w telewizji i który zrobił na tobie (na nas — też) duże wrażenie.

WNINIEJSZYM odcinku zajmujemy się śmiercią Bruce'a Lee. Z faktem tym wiąże się spór sprzecznych wersji i tzw. imponderabiliów które w zasadzie zaciemniają tylko obraz rzeczywisty. Jaki on jest? Czy go przedstawimy? Jaka będzie jego relacja z prawdą? Tak jak w poprzednich odcinkach obiecać można tylko jedno: próbę maksymalnej — na miarę posiadanych informacji — obiektywizacji...

faktem trudnym do podważenia, iż mniej czasu poświęcał ćwiczeniom i ćwiczył nie tak regularnie, jak choćby przed rokiem Tajemnicą publiczną pozostawał jego romans z Betty Ting, chińską aktoreczką grającą epizody i drugoplanowe role (także z Bruce'em). Jak długo trwał romans, trudno ustalić. Bruce i Betty znali się od 1971 roku, ale bliższe „zadzierzgnięcie” tej znajomości nastąpiło później. W każdym razie przez półrocze po-



Bruce jego żona Linda Emery-Lee.

Reprodukcja: Jacek Mirosław

Mały Smok nie był człowiekiem w pełni sił fizycznych od wiosny 1973 roku. Już po jego śmierci znajomi twierdzili, że zdarzył mu się zasląbnienie i zawroty głowy; nie tylko to „głośnie” podczas realizacji „Wejścia Smoka” w dniu 10 maja 1973 r. Bruce miał swoją niedyspozycję bagatelizować i podobno prosił, żeby nie mówić o niej Lindzie. Również w tym okresie zażywał narkotyki Dawki, jakie przyjmował i nieregularność, z jaką to robił nie pozwalają jednak na mówienie o nałogu, co próbowano zrobić po jego śmierci. Jest natomiast

przedzające śmierć Małego Smoka pokazujący się razem w lokalach i przy okazji innych imprez. Raymond Chow, szukający Bruce'a w sprawach biznesu, kiedy nie zastawał go w domu, dzwonił do Betty i często... znajdował. Jest również faktem, że Betty kolejno zmieniała swoje mieszkania na lepsze i znajdujące się coraz bliżej rezydencji Bruce'a. Stąd wzięta się zapewne wersja, iż idol po prostu utrzymywał pannę Ting i w związku z tym chciał ją mieć możliwie blisko.

Kiedy po wielu perypetiach praca nad filmem „Wejście Smoka” dobiegła

końca, Bruce Lee poczuł się odprężony. Skończyło się napięcie psychiczne związane z kręceniem, a później montażem, którego Bruce doglądał osobiście i zgłaszał Robertowi Clouse, reżyserowi obrazu, uwagi w większości przyjmowane. Raymond Chow sugerował przyjacielowi i współpracownikowi dłuższy odpoczynek i wyjazd na jakiś czas. Początkowo wydawało się, że Bruce da sobie spokój z filmem ale po dwóch tygodniach względnej bezczynności powrócił on do tematu „Gry Śmierci”, w znacznej części już zaawansowanej. W tym celu telefonicznie umówił się z Chowem 19 lipca 1973 roku, na dzień następny. Poprosił również Raymonda, aby ten przyjechał na spotkanie w sprawie „Gry” George'a Lazenby. Jako miejsce spotkania Bruce podał mieszkanie Betty Ting...

20 lipca 1973 roku około godziny 13.15 Linda udala się na zakupy, zabierając ze sobą syna Brandona. Bruce został w domu. Przed wyjściem powiedział żonie, żeby nie czekała z kolacją, bo zamierza ją zjeść z Raymondem Chow i Georgem Lazenby w jednej z restauracji. Nie powiedział jednak, w której. Linda odjechała samochodem kilka minut po 14-tej przyjechał Raymond, zabrał Bruce'a i udali się do Betty. Chow miał następnie zostawić oboje aktorów i przyjechać po nich krótko przed kolacją. Nie zrobił tego jednak, bo Bruce zaczął skarżyć się na ostry ból głowy. Betty przyniosła z łazienki silny środek przeciwbólowy, który Bruce połknął bez popijania. Potem dziewczyna pomogła mu się rozebrać i położyła go do łóżka. Bruce powiedział, że się trochę prześpi, na co Betty zaproponowała, że będzie czuwać przy łóżku. Mały Smok sprzeciwił się i powiedział, aby Raymond zabrał dziewczynę na obiad. Prosił, żeby wychodząc nie gasili światła.

Chow — już po śmierci Bruce'a — zwrócił uwagę na istotny szczegół tej ostatniej wizyty w mieszkaniu Betty. Otóż, dała ona Bruce'owi wyjątkowo silny specyfik, który miała w domowej apteczce. Był to lek przez nią nie używany, a przynajmniej Chow nie o tym nie wiedział. Wyglądało na to, że był on trzymany w domu Betty wyłącznie ze względu na Bruce'a, a co za tym idzie ataki bólu Smok miał także poprzednio.

Po dwóch godzinach Raymond i Betty wrócili i zastali aktora „jakby śpiącego”. Próbowali go obudzić, ale bezskutecznie. Betty zadzwoniła po swego lekarza. Przybył on po kwadransie. Próbował cucić Bruce'a, ale też bez rezultatu. Ponieważ tętno zanikało, zdecydował się na wezwanie pogotowia. Przyjechało po kilku minutach i zabrało Bruce'a w stanie zapaści do szpitala. Krótko po tym fakcie Chow zatelefonował do Lindy, która niezwłocznie udała się na oddział reanimacyjny, w którym trwała już walka o życie Bruce'a. O godzinie 23.20 zespół reanimacyjny zaprzestał wysiłków, a dziesięć minut później Raymond Chow zakomunikował licznie przybyłym do szpitala, że Bruce Lee nie żyje. Ze względu na nagły charakter zejścia podjęto decyzję o przeprowadzeniu badań sekcyjnych.

Następnego dnia rano wszystkie gazety Hongkongu podały wiadomość o śmierci Małego Smoka wielkimi literami na pierwszych stronach. Na „Pachnącej Wyspie” zapanowała zbiorowa histeria.

Zgodnie z wolą żony, zaplanowano dwa pogrzeby Bruce'a Lee: w Hongkongu i Seattle. Pierwszy odbył się w domu pogrzebowym Kowloon Funeral Home trzy dni po śmierci. Ciało złożono w trumnie wykonanej z brązu (kosztowała 50 tysięcy dolarów), specjalnie przygotowanej na ten cel. Zwłoki przykryte były ciężką tkaniną jedwabną. Twarz Bruce'a wydawała się niemal nie zmieniona. Nieco tylko skurczona i poszarzała. Na ołtarzu umieszczono napis: „Gwiazda utonęła w oceanie Sztuki”...

Na pogrzebowe uroczystości nie przybyła Betty Ting, odwiedzona od takiego zamiaru najprawdopodobniej przez Raymonda Chow. Prasa zrykująca się na gratkę, jaką byłoby pojawienie się Betty w Kowloon Funeral Home, była rozczarowana. Niektóre tytuły powetowały sobie tę absencję spekulacjami. Nie brakowało i takich, że... nieobecności panny Ting zażądała Linda Lee, grożąc jednocześnie, iż w innym przypadku uroczystości w ogóle w Hongkongu się nie odbędą. Są to raczej insynuacje, bowiem Linda zawsze była wzorem taktu, dobrych manier i delikatności. Fakt pozostanie faktem: Betty Ting nie towarzyszyła Bruce'owi w jego ostatniej drodze na kontynencie azjatyckim.

„China Mail”, relacjonując uroczystości żałobne, pisała:

Uroczystości rozpoczęły się punktualnie o godzinie 9-tej, kiedy do domu pogrzebowego weszła Linda Lee, podtrzymywana przez Raymonda Chow i Ho Kun-Cheunga (producenta), i przeszła przez milczące szeregi żałobników w kierunku ołtarza. Z trudem usiadła na rozłożonych poduszkach. Była obca i nieobecna; taka, jaką była w tym kraju. Kilkakrotnie wydawało się, że zemdleje [...].

Po wyniesieniu trumny zaczęło się prawdziwe piekło, bowiem 30 policjantów, skierowanych do Kowloon Funeral Home jako obstawa, nie mogło poradzić sobie z fanatycznie rozhisteryzowanym tłumem wiebieli Bruce'a Lee. Dziewczęta krzyczały: „Nie! To niemożliwe! Ty nas nie możesz zostawić!” i padały bez czucia na ziemię. Kilka osób zostało stratowanych. W takiej sytuacji ponownie wniesiono trumnę do środka i wezwano drogą radiową posiłki. Przybyły w sile 200 osób. Ale rozładować sytuację udało się dopiero po dwóch godzinach. Prasa podała później, że zgromadzenie przed domem pogrzebowym w kulminacyjnym momencie sięgało 150-200 tysięcy ludzi. Tłumy gromadziły się tu jeszcze przez kilka dni...

Tydzień później odbył się pogrzeb w Seattle, na Lake View Cemetery, skąd rozciąga się piękny widok na Pacyfik. Przybyli nań — obok Raymonda Chow i rodziny — James Coburn, Steve McQueen, Taky Kimura, Danny Inosanto, Ted Ashley (prezes wytwórni Warner Bros). Termin pogrzebu uległ przesunięciu o trzy dni, bowiem w czasie transportu trumna uległa uszkodzeniu i trzeba ją było wymienić na inną. W związku z tym do dziś wielu Chińczyków uważa, że duch Bruce'a Lee nie zazna spokoju.

W czasie uroczystości w miejsce tradycyjnych mów i muzyki żałobnej wykonano ulubione pieśni Bruce'a — „The Impossible Dream” Toma Jonesa, „Look Arround” Sergio Mendesa, „My Way” Franka Sinatry i prozocze „When I Die” („Kiedy umrę”) znanego zespołu „Blood Sweat and Tears”. Przyjaciele krótko żegnali się z Bruce'em. James Coburn powiedział: „Żegnaj Przyjacielu! Odchodząc, jako Mistrz i Przyjaciel, zabierasz częśćkę mego ja.”

Równie proste i serdeczne było pożegnanie Lindy:

Kochany! W miarę najlepszych możliwości i swoich sił uczestniczyłam w Twojej filozofii życia, która nie była tylko teorią, a częścią codzienności. Wierzyłam, że każdy z nas jest częścią Kosmosu i uważałam, że ludzkość walczy o cele zewnętrzne, podczas gdy największe wartości leżą w Człowieku [...].

Cytując słowa pieśni „Blood, Sweat and Tears” zakończyła: „Gdy umrę i nic ze mnie nie zostanie, urodzi się dziecko, które dokończy moją pracę.”

Wypowiadając te słowa, Linda nie przypuszczała zapewne, że następane dni i miesiące staną się dla niej koszmarem większym niż śmierć i pogrzeby ukochanego męża...

(ciąg dalszy nastąpi)